



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie r. s. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie zaś za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

Treść Numeru. Miłość moment dramatyczny przez Bogumiła Aspisa. — Korespondencja ze Lwowa — Pogadanka. — Wystawa Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. — Obrazy na wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie. — Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

MIŁOŚĆ

MOMENT DRAMATYCZNY

PRZEZ

Bogumiła Aspisa.

OSOBY:

Carlo, młody rozbójnik, kochający *Belcolorę*, krórej ojca obowiązany jest zabić z mocy wyroku wydanego przez swoich współtowarzyszy, a którego spełnienie przez wyciągnięcie losu, jemu właśnie powierzonym zostało.

Belcolora, córka bogatego mieszczanina a tajemna kochanka *Carla*.

Rzecz dzieje się we Florencji, w czasach ostatnich?

Scena uwydatnia chwilę, gdzie *Carlo* po daremnej walce uczucia obowiązku z miłością, nie mogąc się oprzeć pokusie ujrzenia po raz ostatni jeszcze swojej ukochanej — zdecydował się na zejście z nią w ogrodzie jej ojca, przed godziną dwunastą w nocy, wyznaczoną właśnie do spełnienia nad tymż jej ojcem wyroku.

Noc miesięczna i gwiazdzista.

Gęsze drzew nad wodą, gdzie przy brzegu widać osadzoną łódkę.

Belcolora (siedząc w białym ubraniu na ławce i piesząc u nóg swoich półkłęzącego, półleżącego *Carla*).

Milczysz, *Carlo*? — Dlaczego, powiedz, jesteś smutny? Choć przy mnie... choć tak blisko?.. Dwa długie miesiące,

Jak dwa wieki przeżyłam bez ciebie — Okrutny! Czyliż nie widzisz łez tych, co drżą mi gorące

W oczach jeszcze od żalu wczorajszego? — (Po chwili). Może...

Możeś mnie przestał kochać?... więc przykro ci słyszeć

Ska rgi te nawet?..

Carlo (przerwijając i z roztargnieniem).

Która godzina już będzie?

Belcolora (zdziwiona).

Godzina?..

Carlo.

A! jak parno, duszno tu!... aż dyszcć Trudno doprawdy! — — Która godzina?... Tak

Głucho już.. pusto — — Która?.. (Zatrzymuje się i wszędzie nagle, jakby zmieniając myśl, dodaje z czułością).

Więc ty *Belcoloro*,

Bardzo kochasz mnie jeszcze?

Belcolora.

Czy ja kocham ciebie?.. Bredzisz, *Carlo*.. Lecz, cóż to? — czyż i noeną porą Spieszysz się dokądś?.. czyż mi niewolno dla siebie Z twego życia dziś nawet takięj ukraść chwili? — Która godzina, pytasz? — Ja ciebie całuję, A ty o czas się drożysz? — (Z wyrzutem)

Lepiej spędzasz go ze mną.. (Dobytując zegarka i podnosząc go ku oczom — z udaną obojętnością). Zegarek wskazuje

Północ...

Carlo (robiąc gwałtowne poruszenie).

Północ?

Belcolora (trzymając ciągle przed oczyma zegarek i z tym samym spokojem w głosie).

Tak — Gwiazdy palą się jak świece — Widać dobrze — Patrz! — Prawda?

(Chowa zegarek — myśli chwilę — następnie zmieniając zupełnie ton głosu, ciągnie dalej).

Belcolora.

Carlo! mio caro!

Co tobie? Od jak dawna miewasz tajemnice, O których ja nie mogę wiedzieć? — Zatem mara, Snem tylko nasza przeszłość? i przysięgi twoje Tak nie warte? i nie wstyd tobie?..

Carlo (przerwijając znowu).

Belcoloro,

Przestań! zamilcz na Boga!

Belcolora.

Zamilcz? — A łzy moje, Gorkie łzy, com przelała, tęskniąc jak za rajem, Za tą chwilą? — a ból mój?..

! czyż cię zabiorą Znowu losy? i znowu ja samotna, jedna, Jak orlica na skale pod pustym obłokiem, Zostanę?

Carlo! zdrada jestże twym zwyczajem? Umiesz-że i ty zdradzać?.. (Po chwili zakrywając twarz rękami).

O, biednaż ja! biedna! Od trzech już nocy prawie sen nad mojem okiem Nie spoczął na minutę, tak mi było trzeba Ujrzeć go... a on, z głową na mojem kolanie Pyta się o godzinę! —

Czyż te gwiazdy nieba Nie wskazują ci jasno, że teraz godzina, O którejś mi tu wieczne przysięgał kochanie, Wieczną miłość?

Któż chwile takie zapomina

Carlo.

Te chwile? — — O, nie pytaj o nie, moja droga! Nie pytaj! — *Carlo* do nich nigdy się nie przyzna — Myśl o nich już mu śmiercią — one mu od Boga Są skaraniem — wspomnienie o nich to... trucizna!

Belcolora.

Boże! co słyszę!

Carlo.

Słyszysz — i gniewna, strapiona, Łzysz tego, kto kwiat uczuć twoich niszczy marnie Tak długo, — teraz jeszcze do twojego łona Tuli się... jak wąż tuli do niego i garnie.. Pchnij mnie od siebie! odpędź węża, *Belcoloro*, Dopóki jeszcze czuje się węzem... Minuta Jedna go zmienić może a wtedy.. niech zbiórą Wszystkie się nad mą głową pioruny! niech zginą Złorzeczając Bogu, światu i tobie i sobie!

(zrywa się na nogi)

Puść mnie!!

Belcolora (zrywając się także i zatrzymując go).

Carlo! chcesz zatem, bym przez cię otruta,
Sama jeszcze tu jedna zgasła?... (Po chwili).

Nie! — Popłynę
Za twoją łódką! — w wodę tę się rzucę! — zrobię
Nie wiem co, jeśli pójdziesz...

Carlo! klękniij jeszcze,
Klękniij przy mnie (mówiąc to, pociąga go znowu ku
ławce i umieszczając się na niej
napowrót jak przedtem, cią-
gnie dalej:)

i powiedz, co znaczą te słowa,
Któres wyrzekł przed chwilą! — —

Biedny! jakże głowa
Musi cię bolić bardzo, gdyś w dłonie jak w kleszcze
Wziął ją i ciśniesz! — —

Co ci? — —

O, ja nieszczęśliwa!

Carlo (odejmując ręce od głowy i obejmując niemi
ukochaną — z zapalem).

Nie mi nie jest — Jam kłamał — Lekko mi i błogo
Przy tobie! — Z oczu twoich, jakby z gwiazd praw-
dziwa

Błyska światłość na duszę moją i ... nie mogą
Żadne raje dorównać méj rozkoszy!..

Nieraz,

Nieraz gdy był daleko od ciebie, — jam marzył
O dawnem szczęściu — Los je zysła mi znów teraz,
Czegóż mi więc potrzeba więcej — — *Belcoloro!*
Jabym się zaprzec Boga samego odważył
U nóg twoich i tobie powiedziałbym jednę,
Jedną na całym świecie, żeś mi dała życie
I... duszę!

Belcolora.

Czegóż chcesz więc? — czemuż się więc
biednej

Wypierasz *Belcoloro* i zamiast obficie
Pić słodycz z tego źródła, jakie nam los daje,
Ty mu złorzeczysz, Carlo? — — Powiedz, powiedz
drogi,

Co za tego przyczyna, bo... ach!... mnie się zdaje,
Żeś bardzo, bardzo inny teraz, niż w téj błogiéj
Nocy byłeś, gdyś tutaj ze mną...

Carlo (przerwywając jeszcze).

Jestem ten sam!

Niestety!

Belcolora.

Niestety!?

Carlo (z czułością).

I za cóż te rany

Ja ci zadaję? — za cóż?...

Czy nędzne sztylety,
Pod któremi za chwilę padnę krwią zbrzydzany,
Warte są twoich cierpień lub łzy z oka twego, —
Albo... warte-ż me grzechy, abyś ty cierpiała
Za nie, o *Belcoloro* moja!

Belcolora (z najwyższą trwogą).

Co takiego

Mówisz, mój Carlo?..

Carlo! ja drzę...

Jakaż śmiała

Znajdzie się dosyć ręka, co w tę pierś uderzy?
Jakiż sąd, co potępi tę szlachetną duszę?
I za co?... Czy mój Carlo już w siebie nie wierzy,
Że tak bluźni przeciwko sobie? lub... ja kuszę
Może go na złe jakie swą wielką miłością?
Mów, Carlo! — Czyż ty tego nic a nic nie czujesz,
Że twe teraz milczenie jest dla mnie — wiecznością!
Że ty w tych kilku chwilach zabijasz mnie! trujesz!
Krwawisz!...

Carlo.

Dosyć, na Boga! — więcej ani słowa!
Bo klnę się na te serca dwa, które w nas biją,
Że nie wytrzymam dłużej i — powiem i... głowa
W drzazgi ta się rozprysnie...

Belcolora.

Carlo!

Carlo (ciągnąc dalej).

I ożyją

Wszystkie czucia w méj piersi zrazu na tę chwilę
I wszystkie myśli zrazu w téj chwili powstaną
Ze wszystkich kątków duszy i wspomnień aż tyle
Naraz krew mi zakłóci, że... O, droga moja!
Daj usta swoje! daj je, moja *Belcoloro!*
Patrz na mnie! patrz mi w oczy! i nie pytaj więcej
O nic mnie... bo i prośby skutku nie odbiorą! —
Nie powiem nic... za tysiąc, ni za sto tysięcy
Uścisków!

Belcolora.

Więc zamilknę — więc usłucham ciebie —
Więc dobrze... Niech się burza rozgromi nademną
Z całym loskotem — ale... ale... o to siebie
Pozwolisz wszakże...

Carlo.

O nic! o nic! — Nadaremno
Stracisz słowa!

Belcolora (z rozpaczą).

Co?... Nawet nie wolno mi spytać,
Czy będzie burza? — o to, coś mówił.. że zginiesz,
Żeś ostatni raz ze mną? (Błagalnie).

...Carlo! — gdyby schwytać
Można choć jedno słówko z ust twoich!... (Po chwili).

...Przeplynie
Tę ot wodę — i nagle, u drugiego brzegu,
Z którego jutro do mnie winienbyś znów wrócić,
Zabiją cię — i tutaj... mnie, mnie życie skrócié
Nie będzie nawet komu — i w okropnym biegu

Myśli mych ja utracę pamięć i wspomnienie
I nawet tęsknić, płakać po tobie nie zdołam
I tylko będę czekać, czekać nieskończenie
Nie wiedząc sama kogo.. a gdy cię zawołam
Czasami, jedno puste echo święte brzmienie
Słowa „Carlo“ powtórzy tylko i... (zrywając się).

Człowieku!
Gdy w tobie ludzkie serce jeszcze dotąd bije,
Powiedz mi prawdę, bo ja... w tę, co widzisz wodę
Skoczę wprzód nim stąd pójdziesz! bo ja się zabiję
Wprzód nim krok ztąd uczynisz! (Znowu błagalnie).

— Carlo, Carlo mio!
Mio caro! — no powiedz, powiedz — —

Ja za tobą
Możebym poszła wtedy — może łzy obmyją,
Zagoją rany twoje i zostaniem z sobą
Znów nadal i znów szczęście, znów z nami zostanie!
— Mów Carlo! — czyż ta cała prośba nadaremna?...
Więc zginiesz? — więc już Carlo po dzisiejszem ranie
Nie wróci..

Carlo.

Nigdy! —

Belcolora (upadając prawie na ławkę).

Boże! zmiłuj się nademną.

Carlo (który nagle zwróciwszy głowę ku gąszczy, zda-
je się coś tam dopatrywać).

Szmer jakiś! — ciszej droga moja *Belcoloro!*
Jeśli mnie tutaj z tobą kto znajdzie, to biada;
Biada nam! — Ciszej!

Belcolora (powstając znowu z trwogą).

Jakto? — któżby nocną porą
Śmiał tu przyjść, Carlo? — Wszyscy śpią i noc
osiada

Cicho wszędzie... Co tobie? — —
Więc prawda o Boże!

Coś mi mówił? — więc prawda, że...
(zwraca uwagę całą ku gąszczy i dosłyszawszy
w niej szelest — mówi zniżonym głosem
dalej:)

Szmer — szmer w istocie,
Kryj się! — przedź! — daj nóż swój! — ja połamię
noże

Wszystkie nim! — ja nikogo nie dopuszczę do cię! —
(wsłuchując się)

Czy słyszysz? — —
Daj nóż! — daj go! — kryj się! —
lub nie — w łódkę
Siadajmy i odpłynmy — oni nie dogonią —
(pociąga go w stronę wody)

Przedź, przedź mój drogi!... (Błagalnie znowu).
Mój Carlo! minutkę
Odstąp mi jeszcze z życia, a potem... niech dzwonią
Wszystkie dzwony stolicy na naszym pogrzebie! —
Nie idziesz? — Ach! — — Mówiłeś, że ci idzie o mnie
Nie chcesz więc mnie ratować? — co?

Carlo.

Tak jest — dla ciebie!
Muszę to zrobić — muszę, jak zdrajca nikczemnie
Uciekać! — Chodźmy! — — Szmer znów...
Chodźmy! — Przędź! przedź!
Szmer się wzmagą.. Już blisko moi...

Belcolora (która pociągając ciągle dotąd Carla ku
głębi, chciała już biedz, zatrzymuje się na te ostatnie
słowa).

Jakto twoj?
Carlo!... co ty?... (wpatrując się w twarz jego badaw-
czo — ze zgrozą i zakrywając
twarz dłońmi).

O Boże! czy? do takiej nędzy
Zniżyłby się mój Carlo! (Nagle na szmer nowy — od-
wracając znów głowę ku
gąszczy — z najwyższym
przestrachem):
Patrz! patrz! — kto tam stoi?
(upada na ramię Carla)

Słychać wyraźnie szelest rozsuwających się gałęzi —
wtedy Carlo porywa *Belcolorę* i unosi ją ku łódce. W teje
chwili dwie jakieś postacie wysuwają się z gąszczy
drzew z lewej strony i ścigają za ich śladem w pośpiechu.

W parę minut jedna z nich podnosi rękę w kierunku
odpływającej łódki. Słychać wystrzał z pistoletu.
(Zasłona spada).

KORRESPONDENCJA ZE LWOWA.

Burza wywołana we Lwowie artykułem *Jednej ze
słuchaczek* w sprawie odczytów dla kobiet, była tyko
prologiem katastrofy, która nastąpiła w kilka
dni po wysłaniu poprzedniej korespondencji. A kate-
strofa ta pod pewnym względem jest więcej zdumia-
wającą niż katastrofa pod Sedanem. Jeżeli świat ca-
ły zdumiał się słysząc: że pod Sedanem cesarz Na-
poleon kapitulował z całą armią swoją przed potęż-
niejszym od niego królem pruskim, to o ile więcej
zdumieć się powinna cała Europa, gdy się dowie, że
we Lwowie przed piórem jednej kobiety kapitulowa-
ło grono złożone z sześciu prelegentów. Warszawa
może być bardzo dumna. Bohaterką téj katastrofy
jest bowiem Warszawianka pani Józefa ze Smigiel-
skich Dobieszewska. Oto cały przebieg téj sprawy
przedstawiony jak najtreściwiej:

W fejtynie *Dziennika polskiego* pojawił się za-
raz po owych wypadkach, o których donosiłem w po-
przednim liście, drugi artykuł w sprawie odczytów
dla kobiet, podpisany najwyraźniej przez panią Do-
bieszewską. Jakkolwiek autorka w drugim artykule
nie przyznała się, że jest także ową *Jedną ze słu-
chaczek*, a nawet wspomina o jéj uwagach jakby o
zdaniu całkiem nieznanéj sobie osoby, mimo to prze-
cież widoczne podobieństwo stylu i cały zresztą spo-
sób argumentacji, usprawiedliwił zupełnie przypu-
szczenie, że i poprzedni artykuł wyszedł z pod pióra
warszawskiej literatki.

Drugi ów artykuł był o wiele dłuższym i więcej
wyczerpującym niż pierwszy. Po dłuższym wpraw-
dzie wstępie o odczytach dla kobiet, ich potrzebie
i warunkach, autorka w drugiej połowie artykułu
wydała sąd o wartości odczytów. Sąd ten wypadł
fatalnie dla panów prelegentów. Dr. Alfredowi
Zgórskiemu i profesorowi M. Służewskiemu zarzuciła

autorka wręcz nieznaną wykładanego przedmiotu, a najpobłaźliwiej postąpiła sobie jeszcze z odczytami pana Władysława Łozińskiego, któremu tylko wytknęła ton nadto popularny. Sąd ten był tak ostry a pod pewnym względem nawet niesprawiedliwy, że wywołać musiał rozdrażnienie pomiędzy prelegentami. Niezawodnie w całym gronie słuchaczy nikt nie podpisałby się był na ten sąd, a artykuł powyższy był tylko wyrazem przesadnych wymagań jednostki. Ale mimo to zwrócił on na siebie uwagę wszystkich, gdyż uważano go za objaw opinii kompetentnej do sądu słuchaczki i znaną pochlebnie literatki. Nadto jeszcze artykuł ten przywołał na porządek dzienny uspioną już poniekąd kwestję, czy nie należałoby dla kontroli prelegentów, wysłać na odczyty komisję złożoną z powag pedagogicznych i literackich.

Towarzystwo pedagogiczne dawszy odczytom swoją firmę, zajęło się tą kwestją i rozstrzygnięcie jej uważało za obowiązek wypływający z jego stanowiska i stosunku do odczytów. Na odbytem w tym celu posiedzeniu, zapadła uchwała czyniąca zadość żądaniom pani Dobieszewskiej. Towarzystwo pedagogiczne wybrało ze swojego grona komisję, która miała nadzorować odczyty panów prelegentów. W kilka godzin po zapadnięciu tej uchwały nastąpiła katastrofa. Prof. Trzaskowski oznajmił słuchaczkom, iż pięciu prelegentów zważając uchwałę towarzystwa pedagogicznego za niewłaściwą zawiesza wykłady, i dodał przytem, że na własną rękę przy pomocy zrewolutowanych prelegentów urządzi nowe prelekcje, które obejmą się bez firmy towarzystwa pedagogicznego. Szósty prelegent dr. Alfred Zgórski dla słuszych powodów, nie przyłączył się do oświadczenia swoich kolegów.

Zdania nasze o ustanowieniu podobnej komisji nadzorczej, wypowiedzieliśmy już w poprzedniej korespondencji. Uchwała towarzystwa Pedagogicznego jest w każdym razie niewłaściwą, i słusnie mogła pobudzić tak znakomitego pedagoga jakim jest pan Bronisław Trzaskowski, do zawieszenia prelekcji. Nasuwa się tutaj następująca alternatywa: Albo towarzystwo pedagogiczne nie uważa przeszłości stanowiska literackiego prelegentów, tudzież ich troskliwości o pozyskaną reputację za dostateczną rekompensatę staranności wykładów, i zapobiedz chciało tą uchwałą zażaleniom: albo powyższa uchwała miała być otwartym wyrazem nieufności dla prelegentów i przyznaniem, że ich prelekcje dotychczas nie odpowiadały słusznym wymaganiom, których uwzględnienie nastąpić miało by dopiero pod presją i nadzorem komisji. W pierwszym wypadku, towarzystwo pedagogiczne powinno było wysłać taką komisję nadzorczą już od chwili otwarcia prelekcji. Jeżeli zaś druga część alternatywy, skłoniła towarzystwo pedagogiczne do powzięcia powyższej uchwały, to prelegentom należy się wdzięczność, że tak prędko wzięli dymisję i przestali kompromitować towarzystwo. Nam się zdaje, że taki powód nie istniał, a uchwała towarzystwa pedagogicznego była ustępstwem dla hałaśliwych zwolenników jawności odczytów. Do wzięcia dymisji skłonili prelegentów jeszcze więcej niż niestosowność uchwały towarzystwa, bardzo niefortunny wybór członków do komisji.

Zawieszenie wykładów ściągnęło na prelegentów gromy wszystkich adherentów pani Dobieszewskiej i *Dziennika Polskiego*, w którym jej artykuły zostały wydrukowane. Jeszcze większy hałas wywołała umieszczona w *Dzienniku polskim* odpowiedź dr. Zgórskiego, który zbijając zarzuty pani Dobieszewskiej podniesione przeciw jego odczytom wykazał, że autorka zarzucając mu nieuctwo w historii sama złożyła dowód wielkich niedostatków w znajomości dziejów. Oto jeden ustęp z tej odpowiedzi potępiony najmocniej przez dzienniki: „Oto masz panie redaktorze — pisze dr. Zgórski w końcu swjej odpowiedzi — że się nie wyłamuję z pod praw krytyki, skoro odpowiadam autorce pomienionego artykułu. Zdaje się bowiem, iż kto może mięszać Grzegorza Wielkiego z Grzegorzem VII, wiek 6 z 11tym., kto może wyssać sobie z palca, iż mówiąc o anglo-saskim perjodzie mogłem wspominać o okresie o sześć wieków późniejszym i o okresie normandzkim — kto nie pojmuje łączności historycznej między Karolem Wielkim a Alfredem Wielkim i nie wie, że obaj ci mężowie do jednej należą doby dziejowej i bynajmniej imiona ich nie tworzą odrębnych w historii epok — zdaje mi się, powiadam, ten nie wzięłby mi w innym razie i za złe, gdybym nawet z grzeszności w kółku znajomych nie zapuszczał się z nim

już nie w dysputę, ale nawet pogadankę o jakimś przedmiocie historycznym, choćby on posłyszał gdzieś i imię Thierrego (na którego powoływała się autorka artykułu). „W zakładach naukowych żeńskich nie wiele ucza historii“ — powiada autorka; i rzeczywiście, gdybym tylko ją znał, tobym wierzył, jak niedostateczne byłyby podobne zakłady, których dobrodusznice uczennice słysząc jedynie o Grzegorzu VII a posłyszawszy gdzieś raz o Grzegorzu Wielkim, w prostocie ducha nazwały wielkim VIIgo a nie I Grzegorza!

Wielki hałas wywołała ta odpowiedź, a szorstki jej ton został mocno przez dzienniki skarconym. Dziennik Polski umieściwszy odpowiedź tę zaraz potem usprawiedliwiał panią Dobieszewską, tłumacząc, że nie autorka lecz zecer przez pomyłkę zrobił Grzegorza siódmego wielkim. Tak wielkie zajęcie obudzała ta sprawa, że dr. Syrski aż z Tryestu wystąpił w Dzienniku Polskim w obronie milczącej zawzięcie pani Dobieszewskiej i skarał silnie dr. Zgórskiego. *Dziennik Polski* dodał nadto: że owa pomyłka o Grzegorzach popełniona nawet nie przez zecera lecz przez autorkę, świadczy na niekorzyść prelegenta, którego wykłady musiały być bałamutne, skoro nawet tak światła kobieta jak pani Dobieszewska nie mogła się zorientować. Nie bardzo przysłużył się tą uwagą autor pani Dobieszewskiej. Jakkolwiek w żaden sposób pobić nie można szorstkiemu tonowi odpowiedzi dr. Zgórskiego na artykuł kobiety, mimo to przecież ośmielamy się wziąć w obronę prelegenta. Pani Dobieszewska zarzuciła bowiem dr. Zgórskiemu nieuctwo w sposób tak dobitny a nie całkiem sprawiedliwy, jak mówią inne słuchaczki, że w uniesieniu dotknięty prelegent, mógł popełnić usterekę przeciw przyzwoitości bez zasłużenia sobie na tak bezwzględne potępienie, jakie go zewsząd spotkało. Zastrzegam jednak, że tylko usprawiedliwiam, ale nie pochwalam postępowania dr. Zgórskiego.

Nie wiem, czy słuchaczki doczekają się tak rychło wynagrodzenia za szkodę, jaką poniosły przez zawieszenie prelekcji. Pan Trzaskowski dotychczas nie urządził jeszcze zapowiedzianych wykładów, a Towarzystwo pedagogiczne nie potrafiło dotąd nakłonić dawnych prelegentów do cofnięcia dymisji albo zastąpić ich innymi prelegentami. Jak mię zapewniło, Towarzystwo pedagogiczne ułożyło miało następujący program dalszych odczytów: Panna F. Wasilewska — Literatura polska w XIX wieku; pani I. Dobieszewska — Wychowanie kobiet wobec obecnych dążeń społecznych; dr. O. Fabian — o życiu roślin; p. A. Kisielecki. Historia polska; dr. Strzelecki — Fizyka. dr. Zgórski — dzieje wieków średnich. Cała ta historia odczytów dla kobiet, zatarłów dziennikarstwa z prelegentami jest mimo fatalnego zakończenia tak zabawną przytem, że od niej wprost przejść mogę do kroniki karnawałowej.

d. n.

Pogadanka.

Gdybym posiadał cudowny kobierzec baśni wschodniej, przenoszący z szybkością myśli w najdalsze światła strony każdego co włóczęgę przekłada nad spokój i ciszę domowej zagrody, natychmiast wyruszyłbym do Lwowa w którym wedle słów dzisiejszej ztamtąd korespondencji, dość ciekawe zaszły awanturki. Zaiste smutna to sprawa, nie dla tego jednak że nieporozumienie poróżniło ludzi, ale że przy dobrem zaraz złe wyrość musi i często odnosi nad niem przewagę. W gospodarstwie rolnem nazywamy to chwastem, w świecie pomiędzy ludźmi... aniołem ciemności.

Publiczne zatem prelekcje dla kobiet we Lwowie ustaly, czy też mają przejść pod kierunek prywatnych usiłowań. Być może, że nie odpowiadały w zupełności swemu zadaniu, że posiadały niedostaki, które koniecznie usunąć należało. Niechy to nie było dziwnego, doskonałość nie jest przymiotem ludzkiej natury, Krytyka sumienna pocziwem wypowiedziana sło-

wem, mogła temu zapobiedz czy to w drodze publicznego wystąpienia, czy też w poufnym z prelegentami porozumieniu. W Warszawie w roku zeszłym mnóstwo mieliśmy prelekcji publicznych urządzonych przez Towarzystwo Dobroczyńności, w których młodź żadna nauki probowała sił swoich, na polu literackiej pracy. Wykładom tym brakowało wiele, z małym wyjątkiem żaden z nich nie stanął na istotnej godności swego stanowiska, a jednak prassa perjodyczna przez wzgląd i na cel i samych prelegentów, z niezmiernem pobiżaniem zdawała o nich sprawozdania. Tej względności doznała i pani Dobieszewska, której wykład jakkolwiek potoczystem wypowiedziany słowem, w całości, w związaniu myśli, w rozbiore głównej treści założenia, przedstawiał mnóstwo uchybień, o których sprawozdawcy bardzo się oględnie wyrazili. Każdy z nich bowiem pojmował, że wykłady podobne pożyteczne w zasadzie, tylko drogą praktyki rozwijać się mogą pomyślnie, że zwracając umysły do poważnych zajęć, prelegentów zachęcają do dalszej nauki, a słuchaczy do słuchania lepszych rzeczy, że wreszcie tym sposobem choć pomalą, na całą społeczność splywa istotny pożytek. Nadzieja ta niezawiodła, w roku bieżącym Towarzystwo Dobroczyńności nowe zapowiedziało wykłady publiczne, do których zobowiązali się ludzie uznanej już zasługi. Dlaczego we Lwowie inaczej się stało? Dlaczego prelegenci zrażeni odstąpili od swego zobowiązania? Dlaczego rzucano myśl utworzenia jakiejś nadzorczej nad wykładami delegacji? Dlaczego wreszcie wykłady dla samych przeznaczono kobiet, z zabrojeniem nawet wstępu na nie męskiej generacji? Są to pytania jak dla nas trudne bardzo do rozwiązania.

Obecne w Warszawie prelekcje czy to w Zakładzie rzemieślniczym dla kobiet, czy w Tow. Dobroczyńności bez nadzoru, kontroli i najmniejszych między słuchaczami wyłączeń rozwijają się coraz pomyślniej. Dla niektórych zarzutów nie brakuje. Powiadają, że w wykładzie gospodarstwa domowego w poważny ustęp jego znaczenia, dziwnym trafem wsunęła się pieczeń na różnie z wielką oskumą słuchających: że w rozprawie o zębach i zdrowem ich utrzymaniu, powtórzono tylko to, co zostało pomieszczone w broszurce przedtem wydanej; zarzuty te wytknęła prassa perjodyczna, dotknięci niemi odpowiedzieli i bez wrzawy i hałasu wszystko przycichło jak plusk kamienia rzuconego w wodę.

Zwykłym także trybem prowadzone są działania różnych instytucji i przedsięwzięć dobroczynnych podjęte w celu zyskania potrzebnych im koniecznie fundusów. W zeszłym tygodniu odbył się bal w ratuszowym gmachu, na korzyść między-narodowego stowarzyszenia niesienia rannym pomocy, ze świętością jaka dotąd nie miała miejsca. Niektórzy rozbawieni na niem o piątą dopiero wracali do domu. Jest to druga w tym karnawale taneczna zabawa, niosąca zasiłek dla nędzy i niedoli. Zaraz na drugi dzień w salach reductowych, miał miejsce koncert na korzyść niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego. Udał się nienajgorzej a przedtem jeszcze Resursa obywatelska wystąpiła z maskaradą na korzyść Towa. Dobr. sypnęła dość obficie groszem, ale szczerzej podobno piskiem masek i płoteczkami. Urządzony także zostanie za staraniem kupców i fabrykantów trzydniowy bazar na korzyść warszawskiej biedy.

Nadto zarząd przytułku dla wychodzących ze szpitali prosi o odzież: zarządy szpitali o książki, a biuro informacyjne nędzy wyjątkowej o zasiłki pieniężne. Pomijając prelekcje w celu zebrania funduszu na założenie biblioteki dla dzieci: kuchnie tanie, stowarzyszenie Merkurego, niesienia pomocy uczącej się młodzieży, i różne korporacje wsparcie biedactwa mające na celu, nie wiadomo gdzie z ofiarą iść pierwszej należy. Komitet w Genewie międzynarodowej pomocy dla rannych, w gorącej odezwie wzywa o pomoc i ratunek. Przez czas sześciomiesięcznego swego istnienia, wystawczy do Francji i Niemiec 3,000 pak różnych materiałów i rozdałszy 350,000 franków, dziś wyczerpawszy wszelkie składy i zasoby, zagrożony jest zawieszeniem wszelkiej nadal czynności, gdy potrzeba jej w niczem dotąd zmniejszona nie została. Aż strach pomyśleć, co się stanie z nieszczęśliwymi ofiarami wojennych zapasów, jeżeli komitet zmuszony zostanie do bezwładności. Kto go jednak wesprze, kto poratuje.

Powiadają że pola bitew tegoczesnych, przedstawiają coś tak straszego, że ludzkość nie miała na-

wet dotąd o tem pojęcia. Kilka tysięcy rannych i umierających przysposobionych w kilka godzin, wymaga przynajmniej pomocy tyluż zdrowych ludzi, a gdzież ich tu znaleźć tak na prędce? Jakim sposobem mieć pod ręką dostateczną liczbę medyków, żeby tym nieszczęśliwym nieść natychmiastową pomoc, od pośpiechu której życie ich zależy? Pomimo tego widoki na przyszłość nienajlepsze. Nowe wynalazki w narzędziach zniszczenia, owe bomby z worami nafty, zapalającej się przy pęknięciu pocisku i siejącej jednocześnie pożogę, niezmownie prawie nie ugaszona, zdają się przekonywać, że jeszcze głos rozumu nieprędko zapanuje światu. Mało go więc widać jeszcze w cywilizowanej Europie.

Oprócz publicznych zebrań na cel dobroczynny, o jakich już mówiliśmy, pani Mansfield żona konsula angielskiego w Warszawie rezydującego, urządziła w swych salonach wieczór artystyczny na korzyść zakładu leczniczego dla dzieci, który jakkolwiek niedawno założony, dobrze się zasłużywszy w zakresie swojej czynności, słusznie na poparcie zasługuje. Wszystko to stanowi pocieszające dowody działalności publicznej w kierunku tak zacnym i szlachetnym, ale brak podobnej skrętności w gałęzi przemysłu krajowego, niezmiernie przykre robi wrażenie.

Rozeszła się bowiem pogłoska że fabryka na Solcu i żegluga parowa na Wiśle pod firmą hr. Zamojski i Spółka, ma być nabyta przez pewną kompanję belgijską. Musi więc interes ten przedstawiać świetne widoki, skoro zdołał do siebie przyciągnąć obcych przedsiębiorców. Dlaczego u nas brakło do tego ochotników?

Jeżeli welocypedzista Heler, wybierający się z Krakowa do Warszawy spełni swoje przyrzeczenie i obdarzy nas przedstawieniami swęj zręczności, posuniętej do ostatecznych granic, nie ma wątpliwości że ciekawych ściągnie tłumy. W tych tłumach może niejednen znajdzie się dzielny umysł, co rozmarzony fraszkami ginie z wieką, szkodą bogactwa narodowego. Zły kierunek w wychowaniu młodzieży majątniejszej głównym tego powodem, zrodzeni w salonie, w świecie widzą także tylko salon a nie wielki warsztat pracy, przy którym zakasawszy rękawy każdy powinien obmyśleć dla siebie miejsce, bez względu na mające się kiedyś odziedziczyć mienie.

WYSTAWA AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH

W Petersburgu.

Akademja sztuk pięknych w Petersburgu, która wszelkimi siłami stara się o podźwiganie i rozwijanie talentów, napotyka niezmiernie trudności, wynikające z braku dobrych szkół przygotowawczych. Jeszcze pojęcie nie jest należycie utrwalone, że nie dość jest umieć nawet zręcznie władać ołówkiem i znać wszystkie tajemnice techniki malarskiej, ale trzeba jeszcze do tego inteligentnej głowy, którą zdobywa się tylko należytem kształceniem naukowem. To też wszystkie dzienniki w Cesarstwie narzekają, że malarstwo w Rossji od lat kilku żadnego widocznego nie robi postępu; że choć pomiędzy malarzami są ludzie z talentem i ze świadomością techniki malarskiej, w pracach ich trudno spotkać się z myślą godnego artystycznego zadania: że wreszcie wystawy urządzone w salonach akademji corocznie mniejszą mają liczbę okazów i coraz mniejszą zalecają się wartością. Przechodząc do szczegółów, prasa perjodyczna w Rossji utrzymuje, że w malarstwie rodzajowem spostrzegać się dają postacie nie posiadające istotnego typu. Krajobrazom brak malowniczości i dobrego wyboru miejscowości: — w malarstwie religijnem nie ma podniosłości myśli: w historycznym dość napotyka się błędów rażących, dowodzących w artystach braku odpowiednich przygotowań. W przeglądzie rzeźby wspominają dość pochlebnie o pracach Ławereckiego, Godebskiego i Brodzkiego. Cała ta wystawa w okazy nie jest bardzo liczna, jest ich bowiem tylko 38. W oddziale malarskim odznaczają się prace Kostrzebnego malarza historycznego, który jeżeli nie ma wyższego

natchnienia artystycznego, za to odznacza się wiernością w szczegółach. Pan Birstadt jest to niezmiernie efektowny malarz, malowanie krajobrazów jest jego specjalnością i zawsze umie wybrać przedmiot więcej uderzający. W zamian przecenia niezmiernie swoją pracę i ceny jej nigdy nie są mniejsze od tysięcy rubli, a niektóre dochodzą do wysokości trzydziestu tysięcy. Widać, że p. Birstadt nie tyle liczy na znawców prawdziwych, jak na tych co wartość obrazu oznaczają według jego pieniężnego szacunku. Trzeba jednak być bardzo znakomitym artystą, aby mieć odwagę podobną cyfrę oznaczać. Prawda, że obraz na wagę złota oceniony, a przedstawiający jakiś krajobraz amerykański, jest dosyć sporych rozmiarów, mogący wygodnie stanowić ścianę całego mieszkalnego pokoju, ale nie zaleca się znów tak wykonaniem, aby usprawiedliwiać przesadę w cenie.

Żuzylenko wybiera dość trudne do wykonania zadania. Jest to malarz lubiący pasować się z przeszkodami i choć nie zawsze wychodzi z nich zwycięzko, zawsze jednak znać talent w nim niezwykły. W ostatniej jego pracy p. t. Pożar lasu, pomieszczenie dwóch światła ognia i księżycy wielce jest efektowne. Pan Kamieniew lubi przedstawiać grozę natury co należy podobno do zadań najtrudniejszych. Obraz p. t. Zbliżenie się burzy, zwracający szczególną na siebie uwagę znawców, bardzo dobrze uwydatnia chwile, gdy przy czarnych chmurach zaciemniających horyzont, zrywa się gwałtowny wichur i duże krople padającego już deszczu rozbija na milionowe cząsteczki.

W rodzajowem malarstwie obrazy dawniej wystawione daleko były lepsze od tych, jakie dziś napełniają salę wystawy akademji. Do malarzy odznaczających się istotnym talentem, policzyć należy obrazy: Boczyina, Brulowa, Hunowa, Bronikowa, Pierowa, Dinkera, Siesowa i panią Bem głównie malującą akwarelę.

Pomiędzy portretowemi malarzami, wyższy talent coby innym przewodził nie ujawnił się dotąd. Wreszcie temu rodzajowi pracy nie wielu artystów poświęca się i to więcej z musu jak powołania. Fotografja królujc wszczwładnie, zwłaszcza, że nie wymagając nudnych i długich posiedzeń, zapewnia najmożliwsze podobieństwo. Na tegorocznej wystawie wystąpili z portretami panowie: Szerwud Morozów, Tichomirów i Bielakow.

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA SZTUK PIĘKNYCH.

Grajek p. Kostrzewskiego jest to malutki obrazek, mniejszy jakże zwykle wychodzą z pracowni tego artysty, ale prześliczny tryskający życiem i prawdą. Przed wiejską chatą siedzący stary, siwy i przygarbiony włościanin, wygrywa na piszczałce czy fleciu jakiegoś skoczno obertasa, bo przed nim małe pachole w koszulinie i z gołą głową wyskakuje ochoczo. Z tyłu za chłopcem cokolwiek opodał, widać idącą kobietę wiejską z płachtą na plecach pełną trawy, w której uśmiechu na widok wyskakującego malca, odrazu poznać można matkę, bo tak patrzeć tylko matki umieją. Radość malująca się na buziaku chłopczyny jest tak jasna, tak harmonizuje z wyrazem twarzy wieśniaczki, takie w tem wszystkim jest jakieś powinowactwo, że patrząc w jedną chwilę odgadnie, że to dziadek przygrywa wnukowi, a matka się cieszy widząc swą małą pociechę w taneicznej igraszce. Od prześlicznej tej pracy nie można oderwać spojżenia; malutka, nie pokażna a jednak cały sielski dramat zamyka w sobie.

Pana Chełmońskiego znajduje się dwa obrazki, którym wiele zarzucić można ale i pochwał nie brakuje powodów. Talent tego młodego artysty dosyć zbliżony do talentu pana Kostrzewskiego, ta sama w nim umiejętność nadania życia obranemu przedmiotowi, to samo upodobanie do scen ludowych, które przedstawia z wielką prawdą i ożywieniem. Nie ma w pracy jego tyle potrzebnej lekkości i swobody, jakie kierują ołówkiem pana Kostrzewskiego: koloryt dziwny i nienaturalny, szczegóły niewykończone,

a jednak w każdym obrazku pana Chełmońskiego znać talent, który każe zapominać o brakach i niedostatkach.

Na jednym p. t. „w południe“ nieusprawiedliwiający zupełnie nadanego tytułu, chłopczyna wiejski z dwojakami w ręku, a w słomianym kapeluszu głębokoboko nasuniętym na głowę, tak że mu twarz prawie do połowy przysłania, ciągnie za rękę małą dziewczynkę, która płacząc zdaje się opierać jego namiętność. Stoją oni na małym jakby pagórku, w około podobno łąka się rozciąga, czy też zboże na pniu jeszcze zielone, bo tu i owdzie zdają się dostrzegać główki makowego kwiatu, zresztą nie więcej nie ma, a jednak pomimo otoczenia niefortunnie wykonanego, dzieciom nic zarzucić nie można. Płacz, krzywienie się dziewczynki, opór jej i rączka do oczów poniesiona, przybranie przez chłopca postawy, aby mógł z pod wielkiego kapelusza spojrzeć na nią dokładnie, są oddane z wielką prawdą i życiem tak, że gdyby je można była wyjąć i postawić w innym otoczeniu, każdy byłby pewny że patrzy na obraz p. Kostrzewskiego. Nie wpływa to jednak z naśladownictwa ale z powinowactwa talentu.

Drugi obrazek „Poranek w puszczy“ jest cały jakby popiołem osypany, co ma wyobrażać zapewne błyszczące rosy przed wschodem słońca. w chłodny jesienny poranek. Wszystkie pomieszczone na nim przedmioty są niewyraźne, jedno tylko okno chaty w której wnętrzu pali się ogień, oddane bardzo naturalnie. Gdyby nie ta nieszczęśliwa rosa czy popiół, gdyby szczegóły dokładniej były odznaczone obrazek mógłby się podobać, bo nie brak mu ani życia ani odpowiedniej charakterystyki.

O tle nieba w obu obrazkach nie będziemy się rozpisywać, spotkać się z niem bardzo łatwo, a jednak pan Chełmoński zdaje się nie znać lazurowej przestrzeni. Pilniejsze studja nad naturą, podwojone usiłowania do wiernego jej w kolorycie naśladowania, wiele będą przydatne dla artysty. Dziś koloryt dla p. Chełmońskiego jest zawsze nieprzebytym murem, którego ani podejść ani przeskoczyć nie umie. Czyby więc nie dało się go zakłąć mozołem pracy, poświęconej wiernemu kopjowaniu natury? Sto razy jedną rzecz robiwszy, w końcu musi się przyjąć do pewnej wprawy.

Do p. Dukuszyńskiej pracowitej bardzo artystki przybyły dwie nowe towarzyski. Widok Warszawy przygotowany przez p. Dębowską Jadwigę, odznacza się głównie dobrą perspektywą, ale właściwie nie jest widokiem naszego miasta, ale widokiem z niego na Wisłę i dalszą okolicę. Wszystko zaś co się mieści na pierwszym planie i cokolwiek od niego odsuwa, jest nieco za sztywne za ciężkie, co nawet w widokach z natury zdjętych stanowi ujemną ich stronę. „Niewczesny żart“ p. E. Majewskiej przedstawia scenę bardzo zwyczajną, ale aby ją oddać należyte, trzeba i potężnego talentu i wprawy niezwykłej. W saloniku z ufrotowaną lustrzaną posadzką, przedstawioną jest młoda osoba w chwili, gdy otworzywszy do szafy pełnej garderoby, przestraszona ukrytym w niej bratem, cofa się nagle i w pośpiechu przewraca krzeselko. Myśl niezła: chłopczyna wytykający uśmiechniętą twarz z radości, że mu się figiel udał, ma wiele w sobie charakteru, ale w całości nie widać swobody, którą w podobnego rodzaju pracach główną ich zaletę stanowi.

Pana Małeckiego dwa widoki kościołów w Chlewiskach i w Stobiecku, głównie zalecają się wyborną perspektywą. Drzewa cokolwiek za ciężkie szczególnie na pierwszym plan wprowadzone, drogi, trawniki także w kolorycie cokolwiek chybione, ale perspektywa wynagradza wszystko zwłaszcza, że stopniowanie widoku od przedmiotów najbliższych do dalszych wybornie zachowane.

Portret trojga dzieci p. Millera choć piękny i ujmujący, zda się być jakby niezupełnie wykończony. Należą do niego dwie dziewczynki i chłopczyk, wszystko troje prześliczne, pełne wdzięku i powabu, co artysta przedstawił z wielkim talentem, ale ubranie na nich za ciężkie, a włosy jakby ulepione. Większem już opracowaniem zaleca się drugi portret tego artysty.

Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

opisany przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Raz przez sztachety ogrodu — daleko na polu, zobaczyłam krzak dzikiej róży, kwiaty pąsowe rumieniły się życiem świeżym a gorącym, ptaki polne przelatywały i siadały na nich całując je miłośnie dziobkami, w gałęziach krzaków szeleścił orzeźwiający wietrzyk. Długo przypatrywałam się dzikiej róży i pozazdrościłam jej samotności, słońca i rozłogów pól na których kwitła.

Tego samego dnia oglądałam obszerną cieplarnię moich babek i w myśli porównałam siebie do pelargonji, która tam rozkwitała piękna, ale nikła o barwie bladziej, stłumionej zbyt wielkim węglanem kwasu, jakim poilo ją sztuczne ciepło, rozniecane ręką troskliwych ogrodników, w kunsztownie ku temu zbudowanych piecach.

XXVI.

Pewnego wieczora, gdy siedzieliśmy wszyscy w koło jednej z czterech jednostajnych kanap, p. Agenor zaproponował grę, zasadzającą się na tem, że jedna z osób należących do towarzystwa miała zadawać pytanie, na które wszystkie inne odpowiadały z kolei. Była to jedna z gier towarzyskich, zwanych myślacami.

Babka Hortensja mimo surowości i wyniosłości swojej, posiadała wielką umiejętność zajmowania gości, a szczególnie od przyjazdu p. Agenora stała się wielce uprzejmą. Zadała więc pierwsze dowcipne jakieś pytanie, na które odpowiedzieliśmy wszyscy po kolei; towarzystwo ożywiło się, na zimnych twarzach wykwitły uśmiechy. Gdy przyszła na Rozalję kolej pytania, podniosła oczy, powiodła niemi w około i na mgnienie oka zatrzymując je na twarzy p. Agenora, wyrzekła z wolna:

— Na jakim miejscu tej ziemi wyrasta najpiękniejszy kwiat szczęścia?

— U stóp ołtarza, odpowiedziała babka Hortensja.

— U stóp twoich najdroższa ciciu, podchwyciła wujenka.

— W sercu małej dziewczynki, która bawi się świeżo podarowaną sobie lalką, smutnie wyrzekła babka Ludgarda.

— W sercu matki cieszącej się szczęściem swego dziecka, wymówiła moja matka.

— W pełnej szkatule, na własne pytanie, odrzekła Rozalja i zaśmiała się właściwym sobie pokornie — metalicznym śmiechem.

— Wśród szerokich pól, pod słońcem pomiędzy ptakami polnymi, rzekłam, przypominając sobie dziąką różę widzianą w południe.

— W szafirowych oczach pięknej dziewczycy, wymówił p. Agenor, bardzo wyraźnie patrząc na mnie.

— Na dnie mogiły, ozwał się p. Rudolf.

— W poczuciu osobistej swobody, ostatni powiedział Franuś.

— Teraz na pana kolej, zawołała Rozalja, zwracając się do p. Agenora.

— Tak, pani odpowiedział i tworząc dalszy ciąg pytania, któreś pani zadała, zapytam co najczęściej przeszkadza ludziom do zerwania owego najpiękniejszego kwiatu szczęścia?

— Porywy własnej wyobraźni, odpowiedziała moja matka, gdy przyszła na nią kolej.

— Poryw namiętności nad którym człowiek zapanować nie umie, wyrzekł po niej p. Rudolf.

— Słabość charakteru, powiedział Franuś.

— Zwyczaj, odrzekłam ze śmiechem, wspominając o moich rozmyślaniach nad zwyczajami.

— Długi, wymówiła z wolna i dobitnie Rozalja podnosząc oczy i z nieopisanym wyrazem topiąc je w twarzy p. Agenora.

— Długi? z kądże ci myśl o nich przyszła do głowy Róziu? zawołałam zdziwiona.

— O kuzynko, odpowiedziała, nie masz pojęcia o tej śmiertelnej chorobie, która się tak nazywa. Ona to jest przyczyną wielu samobójstw moralnych i fizycznych, podkopuje najpiękniejsze egzystencje i do niej można zastosować ten wiersz poety: „robak się łęgnie i w pięknym kwiecie.”

— Panna Rozalja mówi, jak bankier bliski bankructwa albo zrujnowany obywatel, nie mający pieniędzy na opłacenie podatków! zaśmiał się p. Agenor przymuszonym jak mi się zdawało śmiechem.

— O! panie, zawołała Rozalja, wszak różne bywają bankructwa i ruiny, nieprawdaż? A czyliż komukolwiek nie może zabraknąć siły moralnej do zapłacenia życia podatku, podatku cierpienia regularnie dotąd wypłacanego?

P. Agenor przecierał chusteczką szkielecno lornetki i dziwnie się uśmiechał.

— Teraz, moi państwo, wyrzekł, ponieważ ukończyliśmy kolej pytań i odpowiedzi, pozwólcie abym wam opowiedział pewne oryginalne zdarzenie, którego byłem świadkiem w czasie gdy polowałem na lwy w Algierze.

— O, chętnie będziemy słuchali opowiadania pańskiego! zawołała Rozalja, tembardziej że polowania na lwy, żeglowania po morzach, przechadzki po bulwarach paryżkich i tym podobne rozrywki i przyjemności życia, mają związek ścisły z tem, o czem mówiliśmy dopiero?

— Z czem że to Róziu? spytałam, nie a nie jęj nie pojmując.

— Z długami, odpowiedziała spokojnie.

P. Agenor zdawał się nie słyszeć tej odpowiedzi i ze zwyczajną sobie werwą, zaczął opowiadać jakiś oryginalny rys krajów w których przebywał.

Po raz pierwszy nie słuchałam go. Pytałam siebie, coby znaczyły docinki Rozalji o długach, rzucane w oczy p. Agenorowi? Miałby on wiele długów? A jeśli tak było, dla czego tak żywo dotykało to kuzynę? Dlaczego nie było to dla niej równie obojętnem jak dla mnie. Długi? ani widziałam jakoby ważność wyraz ten posiadał? ktoś, komuś pożyczyl pieniądze i ktoś komuś je oddać powinien; oto i całe wyobrażenie jakie sobie o tym wyrazie tworzyłam. Byłoz się czem zajmować? Alboż p. Agenor stawał się mniej miłym, dowcipnym, pięknym, ponieważ miał długie? Czyliżby w wyższym stopniu posiadałby te zalety, gdyby ich nie miał? Że osoba p. Agenora obchodziła Rozalję, tego nie mo-

głam nie widzieć, ale w czem mogły obchodzić ją jego długie?

W godzinę potem babka Hortensja, skinęła na Rozalję, aby szła za nią i zaprowadziła ją do swego pokoju. Około drzwi tego pokoju przechodziłam potem wypadkiem, i usłyszałam twarde a nakazujący głos babki Hortensji i połączonych z nim parę łkań, jak mi się zdawało wyszłych z piersi Rozalji. Żal mi się zrobiło kuzynki, myślałam że babka zbyt ostro ją napomina, za jakie rozminięcie się ze zwyczajem. Postanowiłam gdy wróci do salonu okazać jej więcej jak wprzód sympatji i współczucia, ale nie mogłam dopełnić tego postanowienia, bo Rozalja nie pokazała się już w salonie tego wieczora. Nazajutrz gdy spotkałyśmy się zrana przy stole herbatnym, rzuciła na mnie takie spojrzenie, że odpadła mi wszelka ochota okazywania jej przyjaźni i współczucia.

XXVII.

Aby przyjść z mojej sypialni do salonu, musiałam za każdą razą mijać drzwi pokoju babki Ludgardy, bywały one często otwarte, a wtedy zbliżałam się do progu, pytałam o pozwolenie wejścia i otrzymawszy je wbiegałam, aby ucałować rękę babki, która wzbudzała we mnie tyle sympatji, ile siostra jej obawy i chłodu.

Pokój babki Ludgardy w pół ocieniony był zielonymi sztorami, napełniały go staroświeckie krzesła z wysokimi toczonemi z orzecha poręczami. Obok łóżka na ścianie wisiał wielki czarny krzyż z Chrystusem ze słońcовой kości, a na aksamitnej poduszce klęcznika znaczne były dwie głębokie wklęsłości utworzone znać długimi nocnymi modły mojej babki. Dębowa posadzka w czarne i żółte kwadraty i leżąca na klęczniku wielka Biblia, w oprawie z czarnego aksamitu o srebrnych ozdobach, dodawały powagi i posepności pokojowi temu. Był w nim jednak jeden punkt światły i śpiewający. U jednego z okien uchylona była połowa sztory, a na jej miejscu wiło się kilka gałęzi bluszczowych, obejmujących splotami klatkę w której szczebiotały dwa kanarki. Naprzeciw tej klatki siadywała zwykle moja babka na swoim krześle o wysokiej poręczy, z czarno oprawną biblą na kolanach, ale oczy jej nie spoczywały na wyrazach Pisma Śgo, a najczęściej utkwione w dwoje ptaszat świergoczących, trzepoczących się w swęj klatce, lub w kawałku błękitnego nieba, które wydobywając się z za ciemnych jodeł rosnących za oknami, migotało za szybą niby na pociechę ptaszynom zamkniętym w niewoli.

Stawałam nieraz na progu i kilka minut przypatrywałam się twarzy mojej babki, bladziej, rysującej się na tle szarego pokoju, z łagodnymi oczami, utkwionymi w niebo i w ptaki, z rękami złożonemi nieruchomie na srebrnej klamrze świętej księgi. Na czole jej pomiędzy licznymi zmarszczkami, błąkały się wtedy oddalonych wspomnień błyski, a na bladych ustach wisiał blade także, zamysłony uśmiech.

Pytałam siebie nieraz, o czem myślała siedząc tak długimi godzinami babka moja? Czy to błękitne niebo mówiło jej o lepszym życiu niż te, które przebyła na ziemi, a które porało zmarszczkami jej czoło i smutny wyraz złożyło na ustach, niby przebytych cierpienie pieczęć? Czy widok śpiewających i kojących się ptaków, przywodził jej na pamięć na zawsze znikłe promienne chwile przeszłości? Czy mo-

że w tej klatce owiniętej bluszczem i ozdobionej kilku kwiatami, widziała obraz niewoli przystrojonej światowemi połyski w jakiej zapewne spłynęło jej życie? Raz, gdy tak stałam na progu, patrzyłam na moją babkę i myślą zadawałam sobie te pytania: niby przeczuwając obecność moją odwróciła się, spojrzała na mnie i z łagodnym uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę. Poskoczyłam i przykleknawszy przed nią pocałowałam ją w kołano. Miękką dłonią podniosła ku sobie moją głowę i długo mi w twarz patrzyła. Oczy jej spoczywały na mnie z dobrocią i zamyśleniem, przez które jak zwykle bywało u niej, przebiegał się smutek. Ogarnęło mnie rzewne ku niej przywiązanie a przytem wzrok jej ośmielił mię.

— Babciu rzekłam, powiedz mi proszę o czem myślisz patrząc na tę klatkę z ptakami i na kawałek tego nieba, co przez szybę do twego pokoju zagląda?

Kilka sekund nie odpowiadała, potem przesunęła z pieszczotą dłoń po mojej twarzy, oczy jej znowu w klatkę utkwiły i zwolna wyrzekła:

— Ptaki zamknięte w kunsztownie urobionej i kwiatami zdobnej klatce, śpiewające do nieba i swobody, które widzą zdala, to moje dziecko obraz naszego życia.

— Jaktó, babciu naszego? spytałam nie rozumiejąc w całej rozciągłości myśli jej wyrazów.

Milczała chwilę, potem patrząc ciągle na klatkę i niebo, mówiła jakby do siebie:

— I ja niegdyś tak jak ty byłam młodą... jak ty, urodziłam się w sferze po za granice której wyjść mi nie pozwoliły zwyczajy... pragnęłam nieraz przekroczyć te granice, rozejrzeć się po świecie szerokim, znaleźć gdzieindziej to, czego obok siebie znaleźć nie mogłam... nie pozwolono mi czynić tego... młodość mi przeszła jak tym ptakom w klatce... śpiewałam z tęsknotą do nieba i miłości, których w klatce mojej nie było... postarzałam... życie przeżyłam sama jedna... wiecznie zależna... nikt mię nigdy nie kochał... Umilkła i blade usta jej drżały, szepcąc coś, modlitwę czy skargę jakąś.

Zal mię zdjął wielki, objęłam ją ramionami i przyciskając się do jej piersi zawołałam:

— Babciu droga! ja cię kocham!

Drżącemi dłońmi objęła moją głowę.

— Dobrze jesteś dzieciku! wyrzekła. Ty i matka twoja nie podobne jesteście do tych istot, co pochlebiamy bogactwu przez nadzieję otrzymania go w spadku...

Urwała, jakby lękając się więcej powiedzieć i patrząc mi w oczy spytała nagle:

— Jak ci się podoba p. Agenor?

Czułam dla niej ufność i przywiązanie, odpowiedziałam więc bez namysłu.

— Bardzo, moja babciu!

Skinęła głową parę razy, ale nie rozumiałam dobrze co ten gest znaczył: smutek, namysł czy powątpiewanie?

— Ostrożnie, dziecko moje, ostrożnie! wyrzekła zwolna, a gdy patrzyłam na nią zdziwiona, mówiła dalej:

— Jak ja niegdyś, tak ty teraz nie masz prawa rozejrzeć się po szerokim świecie, musisz przyjmować to, co w ciasnym kółku twojem za najlepsze uznasz... jeśli nie weźmiesz tego, co ci dają, zostaniesz jak ja sama jedna i nikt cię nigdy kochać nie będzie... niech cię Bóg od tego obroni... Kobieta która nigdy kochaną nie była, tęsknotę niesie z sobą do grobu, a nad brzegiem mogiły jeszcze z pamięci jej wydobędą się mary lat minionych i duszy jej utrudnią przejście na łono Boga... O, wyjdź za mąż wyjdź za mąż koniecznie, abyś nie została na całe życie jedna — i abyś była kochaną... Ale ostrożnie! dziecko, ostrożnie!..

Przy tych wyrazach wzrok babki Ludgardy spępniał, a drżące jej dłonie ogarniały moją głowę

jakby pragnęły ją od niebezpieczeństwa jakiego uchronić. Obawa zdjęła mię nieokreślona.

— Babciu! zawołałam, czy słowa swoje do p. Agenora stosujesz?

Obejrzała się trwożnie, jakby się obawiała, aby ktokolwiek nie usłyszał tego co mi chciała powiedzieć, potem pochyliła się tak, że aż siwe włosy jej uwolnione od czepeca opadły na moje czoło i pół głosem wyrzekła:

— Nie wierz temu co błyszczą a szukaj serca... szukaj serca, bo jeśli go nie znajdziesz nieszczęśliwa będziesz! Patrz przedewszystkiem abyś była kochana: nieszczęście kobiecie która kochaną nie jest! Szukaj serca! patrz na serce! a jeśli go nie znajdziesz odrzuć daleko od siebie błyszczącą brzękawkę. Za rok odjedziesz do swego ojca... tam jest świat szeroki... tam pozwolą ci obejrzeć się, patrzeć i wybierać. Wyjdź za mąż! wyjdź koniecznie za mąż, abyś jak ja nie pozostała jedna i abyś była kochaną, ale ostrożnie! ostrożnie!..

Gdy pochyłona nademną z wyrazem niemal boleści na twarzy kończyła wymawiać te słowa, w przyległym pokoju dał się słyszeć głos babki Hortensji zbliżającej się w towarzystwie p. Rudolfowej.

Babka Ludgarda przycisnęła usta do mego czoła i z lekka usunęła mię od siebie.

— Odejść! szepnęła, babcia Hortensja nie chce aby mię kochał ktokolwiek... aby kto przedemną tak klęczał jak ty przed chwilą... Babcia Hortensja jest bogata, bardzo bogata... ja nie prawie nie posiadam, ona może ci przyszłość świetną zapewnić.. nie trzeba aby się rozgniewała na ciebie.

Otworzyła Biblię i niby przestając zwracać na mnie uwagę, smutnemi oczami wpatrzyła się w wiersze pocieszającej księgi.

Wyszłam z pokoju babki Ludgardy bardzo wzruszona; oparłam się o pierwszą konsolę, która była na mojej drodze, spojrzałam w lustro i zobaczyłam, że byłam blejsza jak zwykle. Zakryłam oczy dłonią i myślałam.

Straszne bo też rzeczy zamigotały przedemną z za słów babki, niby z za ażurowej zasłony złowrogie jakieś widma. Wyrazy: ostrożnie! ostrożnie! brzmiały mi wciąż w uszach. Przed czem że strzedz się miałam? Jakież groziło mi niebezpieczeństwo? Szukaj serca! mówiła mi babka, ale i ja instynktowo i nie wyraźnie niemniej jednak silnie poczuwałam potrzebę znalezienia tego serca, któreby z mojem w jeden takt uderzyło. Ileż boleści było w mowie babki gdy mówiła, że kobieta, która nigdy nie czuła się kochaną, tęsknotę niesie do grobu a nad brzegiem mogiły jeszcze z pamięci jej wyjdą mary, co duszy utrudnią przejście na łono Boga. O tak! trzeba koniecznie aby mię ktoś ukochał bardzo, silnie, nad wszystko, aby stał się dla mnie światem całym, a ja bym mu za świat cały starczyła! Ale... mój Boże! czy serce takie, czy miłość taką znajdę w klatce z której mi wylecieć nie wolno, aby wznieść się pod same niebo i z pod niego orlim wzrokiem potoczyć po ziemi i widzieć wielu i wybrać... Może kiedyś po mnogich latach upłynionych, z siwemi włosami i poranem czołem, usiądę jak babka Ludgarda sama jedna i przez nikogo nie kochana, naprzeciw okna o migocącym kawałku błękitnego nieba, i patrzeć będę jak w klatce zamknięte trzepocą się ptaszki i z pamięci mojej szeregiem wyjdą mary tęsknot a żalów i duszę mą do lepszego rwącą się życia, zabrzymają pomiędzy niebem a ziemią na skrzydłach nie przepłakanych nigdy boleści? Biedna babka Ludgarda! Jak żywo usunęła mię od siebie, usłyszawszy głos swojej zimnej despotycznej siostry. Co znaczyły jej słowa: Babka Hortensja jest bardzo, bardzo bogata, może ci świetną przyszłość zapewnić... ja nie prawie nie posiadam. Nie

trzeba aby się rozgniewała na ciebie — ona nie lubi widzieć że mię kocha ktokolwiek!

W istocie słyszałam już była wpródy, że Rodów z przyległościami i znaczne jeszcze kapitały, były wyłączną własnością babki Hortensji, która je otrzymała po zmarłym mężu i których rozporządzeniem za życia i po śmierci posiadała zupełne prawo, i słyszałam także, że babka Ludgarda mieszkała z siostrą żyjąc prawie z jej funduszu, bo sama posiadała bardzo mało znaczący kapitał, ale dotąd nie zastanawiałam się nigdy nad tą różnicą fortuny dwóch moich babek. Miałażby ona teraz podawać mi klucz do odgadnięcia niepojętej dotąd dla mnie uniżoności p. Rudolfowej względem babki Hortensji, a stosunkowo jakby upośledzonego położenia w domu babki Ludgardy. Mój Boże! mogłaż być na świecie dość niska istota, która by chciwym wzrokiem ścigała w przyszłości chwilę czyjegoś skonu, w tem przewidywaniu, że pochlebstwami i fałszywemi objawami miłości, zdobędzie sobie bogactwo mające wypaść z ręki śmierci zeszywniałej? Nie, młoda dusza moja w podobną nikczemność uwierzyć nie mogła! Zmęczone długim życiem serce babki Ludgardy, w zbyt ciemnej barwie świat ten jej ukazywało. Myliła się, a gdy ostrzegała mię przed błyszczącemi powabami młodego sąsiada, myliła się także. Mogłoż złe lub zepsute serce, ukryć się pod tak piękną, świetną powłoką? Nie! Stwórca nie zadaje kłamu sobie samemu. To co utworzył pięknem, co oblał światłością płynącą wprost od oblicza Jego, musi być pięknem aż do dna. Mogąż piękne ognia, i rozumu pełne oczy człowieka kłamać, gdy obiecują miłość wielką i tryskającym z nich płomieniem mówią o uwielbieniu pierś zapętniającem? Możeż szlachetność kształtów kryć nikczemność ducha? Głos przypominający wiosnę i wszystkie jej rozkosze być echem zwodniczem, wychodzącem z piersi w której rozsiadła się martwa zima? Nie! to być nie mogło, babka Ludgarda źle rozumiała świat i ludzi, albo ja źle rozumiałam jej słowa.

Mój Boże! mój Boże! a gdyby tak było? Gdyby istniały rzeczywiście na ziemi nikczemne istoty zaprzeczające uśmiechy, pocałunki, godność swą i uczciwość za garść spodziewanego w przyszłości złota? Gdyby oczy i usta i głos p. Agenora były kłamliwemi echemi, zwodniczymi połyskami przed którymi trzeba ostrzegać młode niedoświadczone jak moje serce?

O! gdyby tak było, ten świat mojej matki, ten świat o którym śniłam tak uroczono... byłby... Nie dokończyłam mojej myśli, bo posłyszałam zbliżający się do mnie chód mężki. Odjęłam ręce od oczu. Przedemną stał p. Agenor i patrzył na mnie swemi ciemno-szaremi oczami na dnie których w tej chwili emił się wyraz wzruszenia.

— Pani tak smutna i zamyślona! wyrzekł swoim głębokim głosem o mistrzowskich modulacjach tonów.

Podniosłam na niego wzrok i odrzekłam:

— W tej chwili bawiłam się sama z sobą w tę grę, jaka wczoraj zajmowała nas wszystkich. Zadawałam sobie różne pytania i w umyśle moim szukałam na nie odpowiedzi.

— I umysł pani odpowiedzi tej dostarczył? zapytał p. Agenor.

— Nie zupełnie, odrzekłam z uśmiechem, umysł mój jest jeszcze słabą dzieciną i na wiele zapytań odpowiedzieć nie umie.

— Wezwij pani mój do pomocy, może w połączeniu powiedzą pani to o czem chcesz wiedzieć.

Popatrzyłam na niego długo i tak mi się jakoś rzewnie zrobiło, że aż poczułam że oczy mi zachodzą łzami. Po chwili wyrzekłam:

— Wzywam umysł pana aby mi odpowiedział: czy młode ptaszę przez szczelinę swojej klatki na

błękitne niebo i szerokie pola patrzące, może być kiedy szczęśliwe? Dlaczego są na ziemi klatki i zamknięte w nich ptaszęta? Czy to co pięknem jest napozór może być brzydkie w gruncie? Czy wyraz oczu, dźwięk głosu i słowa głosem tym wymawiane, bywają kiedy przeciwne temu co dzieje się w sercu człowieka?

Umilkłam, a p. Agenor patrzył na mnie długo nie odpowiadając. Zdawało mi się, że usta jego zdrząły trochę, a na czoło powoli, powoli wypływać poczęła ta zmarszczka przykra, w której zdawało się gnieździć mnóstwo tajemnic. W końcu uśmiechnął się dziwnie, spojrzął mi prosto w oczy i wyrzekł zwolna:

— Umysł mój nie odpowie pani na pytania które mi zadałaś. Myślałaś pani o nich tylko pięć minut a twarz twoja zbladła, cóż będzie jeśli nad niemi dłużej myśleć będziesz? Radzę pani abyś nie zastanawiała się zbyt długo nad pytaniami temi.

— Jakże można żyć, zawołałam, nie szukając odpowiedzi na pytania jakie nam własna myśl zadaje? Wszak w odpowiedziach tych leży prawda, a któż prawdę ujrzeć nie pragnie?

— Prawda! powtórzył p. Agenor zamyślnym wzrokiem patrząc przed siebie, są ludzie na ziemi którzy spędzają życie w jej poszukiwaniu, ale ci ludzie nie do naszego świata należą. Ludzie ci siadają długimi godzinami z czołem podpartem dłonią i myślą, albo po całych nocach czytają książki w których mędrcy świat wyłożyli, albo borykają się z losem przeciwnym i odnajdują prawdę w boleściach wielkich, czy tam w gonitwach zatem co zważ ideą... my tego wszystkiego nie czynimy...

— A cóż czynimy? zapytałam.

— Każdy z nas, mówił dalej p. Agenor, w najwcześniejszej młodości miewa parę rycerskich zapałów i sielankowych marzeń o prawdzie. W owęj porze, gdyby była po temu sposobność, każdy z nas przywdziać gotówby w jej obronie pancierz stalowy i rzuć się rękawicę choćby samemu zmartwychwstałemu Goljatowi. Ale pora ta trwa krótko. Przychodzi doświadczenie życia, znajomość świata i jego powabów; stalowy pancierz łopada z ciała, sielankowe marzenia z głowy wychodzą i z piersi razem z wydychanym kwasem węglowym; a my poznajemy że w świecie w którym nas los postawił, poszukiwanie prawdy nie jest zadaniem życia.

— A wtedy czegoż szukamy? spytałam jeszcze.

— Wesela, rozkoszy, szczęścia, wszystkiego słowem co miłe; odpowiedział p. Agenor i nagle zmieniając ton jakim mówił, pokazał mi przez okno stojące przed gankiem cztery osiodłane wierzchowce i rzekł wesoło:

— Oto naprzykład i w tej chwili pani stałaś tu zamyślona, smutna, bawiąc się sama z sobą w grę niebezpieczną poszukiwania prawdy, a tam stoją do przejażdżki gotowe osiodłane konie i mogą natychmiast unieść nas w zachwycającym towarzystwie na zachwycające wzgórze, kędy nad nami będzie świeciło zachwycające słońce, a w koło nas zaszumią zachwycające jodły.

Zaśmiała się wesoło i odemnie smutne a poważne pierzchnęły myśli. Uśmiechnęła się ku mnie przejeżdżka konna, ruch, ożywiona rozmowa z p. Agenorem, a gdy włożywszy amazonkę i kapelusik z piórkiem po kilku chwilach wychodziłam na ganek, byłam już zupełnie wesoła i przywiązane do mojej twarzy oczy p. Agenora wyraźnie mi mówiły, że wśród zachwycających wzgórz, zachwycającego słońca i zachwycających jodeł, ja to dla niego byłam najbardziej zachwycająca.

Rozalja stała jeszcze na ganku, gdy siadałam na konia a p. Agenor podawał mi strzemię.

Białej kartce papieru na której kreślę te wyrazy, przyznaję się pod wielkim sekretem, że z razu ogromnie lękałam się czarnej Błyskawicy - pół tureckiej rassy, którą przywiódł na moje usługi do Rodowa masztalerz p. Agenora. Było to zwierzę wybornie ujeżdżone i łagodne jak dziecko, niemniej jednak gdy pierwszy raz posadzono mię na jej grzbiet osiodłany, miałam takie poczucie, jakbym co chwilę spadała na ziemię i zdawało mi się, że Błyskawica tuż, tuż odwróci ku mnie swoją zgrabną dumną główkę o białej strzałce na czole, i pożre mię do połowy lub co najmniej odkąsi rękę. Jeśli jednak te obawy wstrząsały mną do głębi, to najmniejszy ich objaw ani razu nie wyszedł na zewnątrz. Lękać się bezmyślnego zwierzęcia wydawało mi się rzeczą upokorzącą i niegodną wyższej ludzkiej natury, zresztą błyszczące oczy Rozalji tkwiły na mnie z wyrazem ciekawości i badania, i pan Agenor tam był i patrzył także, więc wołałabym zostać choćby pożartą lub zabita przez Błyskawicę niż pokazać im, że doświadczam najłżejszej obawy. Gdy więc po raz pierwszy cugle z rąk masztalera przeszły do moich, i w obec całego towarzystwa stojącego na ganku sama jedna powolnym stępem objeżdżałam dokoła obszerny dziedziniec, serce uderzało mi silnie, ale uśmiechałam się, w piersi mi coś drżało, ale głowę podnosiłam śmiało i ręką której niezmiernym wysiłkiem woli poskramałam drzenie, nadałam pewność i śmiałość, gładziłam długą grzywę pięknego stworzenia, które jakby wdzięczne i radośnie pieszczołiwie pod mem dotknięciem opuszczało główkę i stapało równo, niby lekając się silniejszym uderzeniem kopyta o ziemię, przestraszyć swą niedoświadczoną amazonkę. Gdy tak okrążywszy, dziedziniec, z głową podniesioną, z uśmiechem na twarzy i ręką niedbale pieszczącą grzywę mego wierzchowca, podjechałam pod ganek, jednogłośnie rozległo się brawo. Pan Agenor wołał głośno, że posiadam rycerską odwagę i że gdyby mi tylko na dłoni postawiono sokoła, mogłabym pozować przed malarzem do obrazu średniowiecznej księżniczki; w przywiązanych do mnie błękitnych oczach Franusia, czytałam wyraźnie uznanie, że przesłuchanie wyglądam na koniu^a Rozalja klasnęła w ręce i wołała, że cieszy się wielce iż jestem odważną i że nie może się zdarzyć wypadek, abym spadła z konia i rozbiła moją śliczną głowę, o jakiś brzydki kamień przydrożny. Sowiec zostałam wynagrodzona za zwycięstwo otrzymane nad własną lekliwością pow szechnemi pochwałami i tem, że już jej więcej nie doświadczała. Jak żołnierz który drży ze strachu przy pierwszym kul poświście, a potem zasmakowawszy w dzikiej muzyce wojen, z rycerską odwagą nadstawia piersi na niebezpieczne ciosy, tak ja raz ducha mego podbiwszy pod panowanie woli, nie zdrząłam ni razu i owszem szczególną w konnej jeździe poczęłam znajdować przyjemność. Z Błyskawicą poprzyjaźniłam się ściśle, zrozumiłyśmy wzajemnie swe usposobienia, szlachetne zwierzę dawało się jak dziecko powodować nie tylko dłonią moją ale i głosem, a ja po każdej odbytej przejażdżce pieściłam czule jej karczek wygięty, główkę dumną i grzywę falującą i własną ręką podawałam jej pęki przyniesionej przez stangreta różowej konieczyny. Gdy więc po owęj pamiętnej rozmowie z babką Ludgardą i p. Agenorem, puszczałyśmy się we czworo na przejażdżkę po dolinie, byłam już wprawą i odważną amazonką, umiałam rozróżnić stępa, klusa i galopa, zażywać Błyskawicę w rozmaity sposób, a nawet doświadczałam dziecinnych pochopów do przesadzania rowów lub probowania sił moich i mego wierzchowca, w gonitwie do celu z pięknym

i roslým siwkim p. Agenora. Stępo przebyliśmy dziedziniec, minęliśmy wspaniałą bramę wjazdową, i po chwili mała kalwakata nasza postępowała środkiem doliny, otoczonej wzgórzami i przerzniętej wąską rzeczką. Jechałam pomiędzy Rozalją i Franusiem: p. Agenor klusował obok kuzynki ale nie spuszczał prawie oka ze mnie.

Powietrze, ruch, piękność natury, ożywiona rozmowa i tajemne poczucie że byłam punktem na którym spoczywały z uwielbieniem dwie pary oczu obecnych tam mężczyznu, wprawiły mię w humor wesoły, nieledwie swawolny.

Zdała od babki Hortensji i jej bawialnej szufady, pozwoliłam sobie zaśmiać się głośno parę razy, wciągnęłam w rozmowę Franusia, powiedziałam że znajduję iż dobrze wygląda na koniu, przez co rozweseliłam go i jechaliśmy wesoło rozmawiając i śmiejąc się we troje.

Tak, we troje bo Rozalja uparcie milczała. Przemówiłam do niej parę razy, odpowiedziała monosylabami a wzrok stale miała utkwiony w grzywę mego konia, kiedy niekiedy tylko podnoszonego ku obłokom z takim wyrazem, jakby czegoś szukała po niebie. Dziwne to spoglądanie jej w niebo, spostrzegłam za każdą razą gdy znajdowała się na otwartym powietrzu. Rzebyż można, że wtedy obłoki przemawiały do niej jakimś jej tylko zrozumiałym językiem, że gdy miała oczy spuszczone słuchała ich a gdy je podnosiła pytała je o coś. Sądzę że dla tych którzy w owęj chwili na nas patrzyli, musiałyśmy obie szczególniejsze przedstawiać sprzeciwieństwo. Moja powierzchowność, uczucie moje, wyobrażenia, myśli, rozmowa, były podobne do wiosny tylko co na świat zstępującej, słonecznej, śpiewającej, pełnej nadziei, radośnej, kiedy niekiedy tylko zaćmionej obłoczkiem niosącym zaledwie przypomnienie odległych zakrańcami horyzontu jeszcze kryjących się chmur. Rozalja przypominała sobą cichy skwar dnia letniego, napełniony elektrycznością burz, wiszących czarnymi chmurami, od czasu do czasu przerywających niebo żółtym blaskiem błyskawicy. Porównanie to musiał czynić pan Agenor, gdy z niej na mnie przenosił oczy, a znać miło mu było odetchnąć wiosnianą atmosferą, bo gdy patrzył na mnie, twarz jego nabierała wyrazu pogody a oczy mówiły mi wyraźnie, że uwielbia wiosnę, świeżość jej, śmiech i swobodę. Im więcej i wyraźniej przemawiały w ten sposób oczy pana Agenora, tem posępniejsze cienie zsuwały się na twarz Rozalji, a zarazem, tem pokorniej spuszczała ona głowę i tem słodszy uśmiech na jej ustach osiadał.

Nagle, w chwili gdy uniesiona żywością rozmowy roześmiałam się długo i głośno, spojrzęła na mnie i ozwała się po raz pierwszy:

— Kuzynko! jakże powolnego i spokojnego masz wierzchowca!

— W istocie odrzekłam, Błyskawica jest nieocioną, głos mój nawet rozumie.

— I któżby mógł być nieposłusznym głosowi pani! ozwał się pan Agenor.

— Daleko by ci przyjemniej było kuzynko, gdybyś jechała na bystrzejszym koniu, ciągnęła Rozalja.

— Błyskawica jest pełnem ognia i bystrości zwierzęciem a staje się łagodną i spokojną pod wpływem ręki panny Wacławcy, odparł znowu pan Agenor.

— Wszecchno to ręka! zawołała Rozalja, ale pragnęłabym bardzo zobaczyć w Błyskawicy ten ogień o którym pan mówisz, a w rękę kuzynki tę siłę jaką pan jej przyznajesz!

To mówiąc zaśmiała się zwykłym sobie śmiechem, podniosła rękę, śpicruta jej świsnęła w powietrzu i nagle uderzeniem opadła na szyję mojej Błyskawicy.

Szlachetne zwierzę zdrząło całe pod ciosem tej niezastużonej obelgi, z nozdrza jego wydobyło się gniewne parsknięcie, oczy cisnęły ogniem i uniosły

od ziemi obie przednie nogi, zdawało się tuż tuż szalonym skokiem rzucić na zorane obok pola. Potrzebowałam użyć całej mej siły, aby utrzymać się na siodle—ale z rąk wypuściłam cugle i tylko jedną ręką pochwyciłam grzywę pniącego się konia. W mgnieniu oka, Franus zeskoczył ze swego wierzchowca, pochwycił cugle które z mych rąk wypadły, i po krótkiej chwili pasowania się z rozgniewanem zwierzęciem, zatrzymał je na miejscu. Nie czułam się wcale przestraszona, spostrzegłam więc bladłość jaką pokryła twarz Franusia w chwili mego niebezpieczeństwa, siłę i odwagę z jaką powstrzymał rozszalały popęd konia. Gdy Błyskawica powstrzymana i uspokojona stała już na miejscu jak wryta, uderzając tylko jeszcze ziemię kopytem i parszcząc z lekka, spojrzalam na Rozalję i na pana Agenora. Patrzyli na siebie a oczy ich dziwną prowadziły rozmowę. We wzroku pana Agenora był wyraźny wyrzut i gniew zaledwie tłumiony, oczy kuzynki ciskały na niego wyzywające błyskawice.

Zwróciłam konia w stronę dworu a pewna już siebie i zupełnie spokojna, rzekłam:

— Jak widzę kuzynko, pragnęłaś dowieść, że ręka moja nie jest tak silna jak się komu zdawać mogło, i że pomimo całej odwagi z jaką jeździę, mogę spaść z konia i rozbić sobie głowę o kamień przydrożny. Przebac że nie dostarczyłam ci przyjemności tego widoku, ale jeśli się tak stało nie twój to pewno w tem wina.

Gdy wymawiałam te wyrazy, czułam sama, że postać moja niezwykle wyprostowała się, a oczy utkwione w twarz Rozalji błyszczały obrazą i żalem. Po czem zawołałam na Błyskawicę i zostawiając za sobą towarzystwo, pełnym galopem puściłam się ku dworowi. W piersi mojej po raz pierwszy w życiu czułam wrzenie gniewu, połączonego z obrażoną dumą i rozżaleniem. Czego żądała odemnie ta dziwna istota co niby krewną moją była, a w której każdym słowie, ruchu, postępkowi, widziałam nienawiść? Cóż jej uczyniłam złego? Bóg widział, że szczerze litowałam się nad nią lubo nie rozumiałam sama, coby téj litości było przyczyną, i że robiłam wszystko co mogłam, aby ją kochać i w niej dla siebie przyjaźń obudzić. Dla czegoż była względem mnie tak okrutną, żeby aż chciała śmierci mojej? Byłam wtedy przekonana, że Rozalja uderzając bez żadnej przyczyny mego konia, pragnęła aby mnie uniósł, zrzucił i zabił.

Straszną wydała mi się myśl, że ktoś śmierci mojej pragnie, śmierci dla mnie tak młodej, spragnionej życia, wolnej od wszelkiej winy względem ludzi.

Myśl tę jak fosforycznym światłem oświetliło przypomnienie rozmowy, jaką prowadziły z sobą oczy p. Agenora i Rozalji w chwili mego niebezpieczeństwa. Coś niepojętego dla mnie a strasznego z rozmowy téj tryskało, niepojęte też a trwogi pełne uczucie pierś mi zaległo.

Posłyszałam za sobą tentent doganiającego mnie konia, był to Franus który mnie dopędzał. Gdy konie nasze zrównały się, wyciągnęłam do niego rękę i wyrzekłam krótko.

— Dziękuję.

Ton jakim wymówiłam ten wyraz musiał być serdeczny, bo radością błysnęła twarz kuzyna.

Obejrzałam się i zobaczyłam zdala Rozalję i p. Agenora jadących obok siebie. Wydawało mi się że p. Agenor żywo mówił o czemś do Rozalji z gniewem czy żalem, a ona go słuchała z pokornie schyloną głową.

— Kuzynku, rzekłam oddychając ciężko i z trudnością wstrzymując łzy co mi się do oczu cisnęły, powiedz mi, czy ci ludzie kochają się czy nie nawiądzają?

Smutny uśmiech zawisł na ustach kuzyna.

— Zdaje mi się, odrzekł zwolna, że i jedno i drugie!

— Boże mój! zawołałam, jakież to dziwne a straszne tajemnice włączają się pomiędzy ludźmi, niby mary niepojęte i niepochwyczone! Jak wiele na świecie dzieje się rzeczy, których zrozumieć nie może serce młode, proste i niedoświadczone! O! powiedz mi kuzynku, dla czego świat nie jest tak pogodny jak te obłoki co wiszą nad nami, a uczucia ludzkie takie ciepłe, światłe i wyraźne, jak snopy tego słońca promienne?

Franus milczał chwilę ze spuszczoną głową, potem spojrzal na mnie z nieopisanym wyrazem i rzekł:

— Kuzynko, czy widziałas kiedy jak w koło gwiazdy na wieczornem niebie, czółgają się pasma chmur ciemnych z wyziewów ziemskich utworzone? Albo jak na polu w koło śnieżnej lilji rozkwitłej, wije się robactwo wyszłe z łona ziemi błotnistej? Ty kuzynko jesteś gwiazdą co zaledwie wypłynęła na niebo, lilją tylko co rozkwitła; wyziewy ziemskich bólów i namiętności, robactwo ziemskich występków otacza cię, ostrożną bądź kuzynko droga, bardzo ostrożną!

Nie poznawałam Franusia. Ten odważny młodzieniec co tak dzielnie borykał się z rozhukanym koniem, byłby to ten sam zmięszany i lekliwy chłopak, nie umiejący oprzeć się woli babki Hortensji wyrażoują kiwnięciem palca? Te usta smutne i myślące zarazem co mi w téj chwili dawały przestrożę serdeczną i braterską, byłyby temi samymi ustami, które w szufladzie moich babek milczały onieśmielone i pokorne? Biedny Franus! podałam mu rękę a ścisnąjąc dłoń jego rzekłam:

— Kuzynku! takiś młody jeszcze! Zkąd wiesz o tych chmurach i robactwach co oblegają gwiazdę i lilję i przed którymi strzedz się powinnam?

Zamiast odpowiedzi, utopił w mej twarzy spojrzenie prawdziwie młodzieńcze, gdzieś na dnie drżące żalem niewypowiedzianym.

W téj chwili wjeżdżaliśmy w bramę dziedzińca: zobaczyłam stojącą na ganku moją matkę. Zeskoczyłam z konia, rzuciłam się w jej objęcia i szepnęłam na ucho:

— Mamo droga! wróćmy co prędzej do domu!

Moja matka odsunęła mnie nieco od siebie, badawczo w twarz popatrzyła a musiała wyczytać na niej wzburzenie które mnie przepełniało, bo chmura zawisła na jej czole. Nie zapytała mnie jednak o nic, tylko wiodąc pieszczoną dłoń po mym rozpalonym policzku odrzekła:

— Dobrze, moja droga, sama już myślałam o powrocie do domu.. Odjedźmy ztąd jutro.

Tak ruchliwym i zmiennym we wrażeniach swych było w owęj porze me serce, że zgodzenie się na moją prośbę matki i zapowiedź odjazdu o który sama przed chwilą prosiłam, zasmuciły mię. Więc jutro już rozstanę się z p. Agenorem? Jutro rozejdziemy się i nie wiem kiedy przyjedzie do nas i nie wiem kiedy zobaczę to jego mądre a dowcipne spojrzenie, które mi się tak podobało, i posłyszę jego mowę pryskającą iskrami zmienną i stubarwną jak kameleon, która tak silnie działała na mą wyobraźnię, uprawiając ją na jawie w półsennie marzenie?... Pożalowałam słów wyrzeczonych przed chwilą do matki, i zamyślona. w jeden punkt wpatrzona stałam na ganku z rękami obwisłymi na sukni. Żal mój zwiększył się, gdy p. Agenor zeskoczywszy z konia zbliżył się do mnie i w wymownych słowach a z wymówniejszym jeszcze wyrazem oczu, opowiadał mi cały przestrah jakiego doświadczył w czasie chwilowego buntu Błyskawicy, tak szczęśliwie powściągniętego przez Franusia.

— Zazdroszczę kuzynowi pani, dokończył, szczęścia jakie posiadał oddając dziś pani przysługę. Cóż robić! Jechał bliżej pani, a gdyby niebezpieczeństwo potrwało jeszcze sekundę, byłbym się rzucił pod

stopy Błyskawicy choćbym wiedział, że zostanie zabity przez nią na miejscu.

Mówił to z taką prawdą w wyrazie twarzy i tak nieopowiedziane tkliwą modulacją głosu, że wdzięczna prawie byłam w téj chwili Rozalji, iż postawiła mię w położeniu, która dała mi poznać gotowosć poświęcenia się dla mnie p. Agenora. Przytem widziałam wyraźnie, że jeśli postępkami swoim chciała mię upokorzyć w oczach młodego sąsiada i uwagę jego odwrócić odemnie na siebie, nie dopięła celu, bo p. Agenor nigdy nie był dla mnie tak grzecznym i nadskakującym jak po owym wypadku. Z za grzeczności jego wyraźniej nawet niż kiedy, przebijała się ta nieokreślona lotna woń uwielbienia, i półsłówkami lub spojrzeniami objawionego uczucia, którą porównywałam do wytworniej salonowej perfumy, a która wprawiała mię w upojenie i w stan podobny do słodkiego drzemania.

Uwagi te zabiły we mnie odrazu gniew i obrazę, jaką zrazu czułam względem kuzynki; owszem pożałowałam ją szczerze widząc, że usiadła sama jedna w kątku salonu z postawą bardziej jeszcze pokorną niż zwykle. Kilka razy podniosła na mnie oczy i wnet je spuszczała, jakby pod wpływem wstydu a po ustach jej błakał się widoczny wyraz cierpienia. Pomyślałam, iż niedobrzeby z mej strony było, gdybym czekała aż pierwsza do mnie się zbliży i upokarzała ją jeszcze bardziej okazywaniem urazy. Sądziłam wreszcie, że gdy po przykrem zajściu, podam jej pierwszą rękę, pogodzę ją może z sobą i zdobędę serce, które dla niezrozumiałych mi przyczyn tak uparcie odwracało się odemnie. Usiadłam więc przy niej, milcząc objęłam ramieniem jej kibić i serdecznie pocałowałam ją w policzek. Zwróciła ku mnie twarz zdziwioną, ale zarazem zdało mi się, że w palających jej oczach zamigotał po raz pierwszy wyraz rozczulenia. Pochwyciła obie moje ręce i ścisnęła je silnie w swoich:

— Kuzynko, wyrzekła cichym szeptem, przebac przebac..

Pierś jej podniosła się wysoko, usta zadrżały, łzy nabiegły do oczu. Ale było to mgnienie oka tylko, nagle łzy zniknęły pod powiekami, niby wysuszone ogniem palącym się w źrenicach, brwi zakreśliły harde łuki a w sprzeczności z niemi powieki schyliły się z wyrazem pokory.

— Kuzynko! zawołała, wszak nie sądzisz abym umyślnie uderzyła śpicrutą twego konia? o, powiedz mi, wszak tak nie sądzisz? Byłabym w rozpacz, gdybyś mię o podobny posądziła postępek..

— Róziu! przerwałam, czy postępek twój był umyślny lubnieumyślny, zapomniłam o nim. Wszak mogłaś rozgniewać się na mnie, unieść się, może powiedziałam cokolwiek co ci się nie podobało.. Są charaktery które nie mają dość mocy aby zapanować nad swem uniesieniem.. zapomnijmy o tem i zostańmy dobrymi przyjaciółkami!

— Przyjaciółkami! zawołała Rozalja z pokornym a właściwym sobie gestem składając ręce, o Waciu! co wyrzekłaś? I cóż ja jestem w obec ciebie, ja uboga dziewczyna, w ubogiej sukni, z zaniedbanem wychowaniem w obec ciebie panny bogatej, strojnej, świetnie wychowanej, tak powszechnie chwalonej i admiirowanej! Cóż ja jestem w obec ciebie? O! powiedz proszę! robaczek Święto Jański w obec gwiazdy; na pędz od ziemi nieodrosła licha trawka w obec wyniosłego kwiatu! Znam moją niską pozycję, kuzynko, i wiem, że nie mogę porównać się z tobą, ani przyjaciółką twoją zostać nie jestem godna!

Przykre wrażenie sprawiały na mnie te słowa: stłumiłam je jednak w sobie i z litością niemal patrząc na kuzynkę, spróbowałam wyrzec raz jeszcze:

— A jednak Róziu, gdybyś chciała zostać moją

przyjaciółką, możebyśmy się zrozumiwały, możebyśmy się pokochały...

Orzuciła mię całą wejrzeniem z którego strzeliły najrozmaitsze uczucia, a z ust jej szybkie, jakby żądnym wysiłkiem woli nie powstrzymane, gwałtowne a ostre wypadły słowa.

— To niepodobna!...

Westchnęłam i odeszłam. Rozalja pozostała w swym kątku z czołem marmurowo spokojnem, nieruchoma, milcząca, z oczami utkwionemi w posadzkę i rękami splecionemi na sukni.

Pan Agenor opowiadał w tej chwili towarzystwu, jedną z licznych przygód swoich podróży, ubarwiał ją poezją, zaiskrzał dowcipem, zaostrzał nagłemi sarkazmami, które wychodziły z ust jego wtedy gdy najmniej były spodziewane.

Zasłuchałam się w jego rozmowie, zapatrzyłam się na pełną życia jego fizjonomię, zapomniałam o upornej a nieprzejednanej kuzynce, o niedawnem z nią zajściu, o wszystkich przykrych wrażeniach dnia upłynionego, a myślałam tylko o tem, że nazajutrz nie będę już widziała ani słyszała pana Agenora. Myślałam o tem z żalem.

W parę godzin potem w sypialnej mojej szufladce siedziałam wśród ciszy nocnej przy otwartem na ogród oknie, i czułam że na miejscu zmarłego skromnego kwiatka sympatji mojej dla Franusia, jaki wiozłam z sobą jadąc do Rodowa, wywozę rozkwitły inny kwiat barwniejszy, świetniejszy, wynioślejszy. Miałam tylko poczucie, że kwiat ten rozkwitał nie w sercu mojem a w głowie, i że miał uderzającą woń perfumy od której głowa mi pałała i skronie pulsowały jak po oczadzeniu. Chwilami przy wspomnieniu o dziwnych spojrzeniach, jakie pan Agenor rzucał niekiedy na Rozalję, i o przykręj zmarszczce która występowała mu czasem na czoło, niemile mi przejmowało uczucie. Wtedy w uszach brzmiały tajemnicze słowa babki Ludgardy „ostrożnie, dziecko, ostrożnie!” nie chciałam ich słuchać i z roskoszą powtarzałam sobie w myśli dowcipne uwagi pana Agenora, szybkie a dziwnie zręczne zwroty jego mowy, upajające półsłówka jakimi mię obdarzał, albo zachwycałam się jego znajomością świata, licznemi podróżami z których przywiózł tyle wspomnień o bulwarach Paryżkich, niebie Włoskiem i pełnych niebezpieczeństw a dzikiej poezji polowaniach na lwy Afrykańskie....

Aby móżdż tak poznać Paryż, trzeba być człowiekiem światowym, aby uwielbiać piękności południowej natury, trzeba mieć duszę do poetycznych uniesień zdolną, aby zabijając lwy na pustyniach trzeba posiadać mężski hart i odwagę! Myślałam i tonęłam w zachwycie nad światowością, poetycznością, hartem i odwagą pana Agenora.

Chwilami, zdawało mi się, że od wysokiego nieba na które patrzyłam wraz z szumem jodeł ciemnych, dochodził mię głos mówiący: „nie ufaj połyskom dziecię moje i nie oddawaj im całego serca twego!..” Byłoby to ojciec mój co mi przez przestrzeń słał tę przestrożę? Czy może w ten sposób do serca mego przemawiał Bóg, królujący nad gwiazdami, którego myśl przez życie całe uczył się rozumieć mój ojciec?

Dzień szarawy tajemniczem światłem wsuwał się do ogrodowych alei, z za ciemnej zieleni przeglądał żaróżwiony wschodzącem słońcem brzeżek horyzontu, gdy uklęknęłam przed oknem i modlić się chciałam. Chciałam się modlić, ale niestety nie mogłam! Rozhukana i rozmarzona zarazem myśl moja, buntowała się przeciw słowom modlitwy jakie wymawiały me usta. Dusza moja rwała się ku niebu, ale podnieść się z nad ziemi nie mogła. Czyliż tak silnie ujęły już ją w uścisk te połyski świata, przed którymi ostrzegął mię głos tajemniczy z pod nocnego płynącej sklepienia? Zmęczona, rozmarzona, z bolącą głową

i pulsującymi skrońmi, udałam się na spoczynek, a usypiając słyszałam jak budziło się ptastwo w gęstwinach ogrodu, witając dzień radośnym świągotem i trzepotem skrzydeł, swobodnie wznoszących się ku słońcu.

XXIX.

Nareszcie opuszczaliśmy Rodów. Zgrabna karetka nasza wytoczyła się za bramę dziedzińca wraz ze staroświeckim koczem państwa Rudolfów, który przed laty musiał być pięknym i kosztownym, ale dziś przypominał tylko dawny dostatek i niewygasa dotąd chęć błyszczenia p. Rudolfowej. P. Agenor towarzyszył nam konno.

O parę wiorst od dworu powozy nasze stanęły na rozstajnej drodze, a matka moja i p. Rudolfowa wychyliły się z nich aby ostatecznie się pożegnać.

— A pan w którą udasz się stronę? spytała wujenka p. Agenora.

Zawahał się chwilę potem odpowiedział z ukłonem:

— Mam zamiar odwiedzić dziś jeden z sąsiednich domów pani Matyldy; jeśli więc otrzymam na to pozwolenie, będę ją eskortował aż do bramy jej dworu.

Rozalja trzymała oczy utkwione w twarz jego i milczała.

— Słusznie pan uczynisz, odpowiedziała p. Rudolfowa pokazując wszystkie zęby: my z Rózią jedziemy w towarzystwie Rudolfa, posiadamy więc w podróży mężką opiekę męża i ojca...

Słowa te a bardziej jeszcze sposób jakim były wypowiedziane, sprawiły zagłębienie się fałdu na czole mojej matki, usta jej jednak uśmiechnęły się tylko dumnie, jakby gardziły odpowiadaniem na złośliwą uwagę.

I znowu przejeżdżaliśmy, piękną a urozmaiconą okolicą: p. Agenor jechał obok portjery i rozmawiał z nami. W połowie drogi wskazał ręką na prawo i rzekł patrząc na mnie.

— Racz pani rzucić okiem na skromne ściany mego domóstwa.

Spojrzałam w kierunku jaki wskazywał i zobaczyłam widniejący w dali, ale bardzo wyraźnie widzialny pałacyk, którego lekkie a wyniosłe ściany pięknie rysowały się na tle pogodnego nieba. Zgrabna wieżyczka strzelała po nad szczyty drzew otaczających, a promienie słoneczne padały z góry na dach z pasowej blachy, i snopami iskier odskakiwały od zwierciadlanych szyb gotyckich okien. Przypomniałam sobie rozmowę jaką miałam z moją matką jadąc do Rodowa, i mimowoli pomyślałam: byłoby to właśnie miejsce na którym zatrzyma się wóz moich przeznaczeń? Na tę myśl serce nie uderzyło mi trwogą ni nadzieją, tylko w głowie zaszumiało i w piersi tęskno zrobiło się jakoś.

Gdy tak myślałam powóz nasz mijał dwór starożytny a rozległy, na którym już i wprzód z ciekawością chwil kilka spoczywały moje oczy. Zamiast modnego i leciuchnego pałacyku pana Agenora, stał tam jeden z tych starych obecnie modrzewiowych domów, które przenoszą wyobraźnię w odległe czasy, przypominając dawną prostotę, dawne bogactwa i dawną gościnność. Dom ten o kilkunastu frontowych oknach, postawiony na wzgórzu, panował nad okolicą, po za nim nieruchoma i szeroko rozłożona stała ściana gęstej zieleni ogrodów, tak widać, jak i dom starych a w koło wrzał ruch niezmierny, jakiego nigdzie więcej w okolicy nie spostrzegłam. Na poblizko płynącej rzece huczały i pieniały się koła wodnego młynu, dalej stukały młoty i zgrzytały piły mnóstwa ludzi podnoszących świeże jakieś budowle, po równinie toczyło się ku dworowi kilkadziesiąt chłopskich wozów, i przejeżdżało się na koniach kilku ludzi w szarych surdutach, znać doglądając dokonywających się na równinie robót. Na tle tego ruchu spo-

kojnie i poważnie stał dom modrzewiowy, a światłe wielkie jego okna zdawały się oddychać ciszą, i z zamysleniem spoglądaćna rozścielającą się u stóp jego równinę.

— Do kogo należy dwór ten tak spokojny a tak pełny życia, tak prosty a tak bogato wyglądający razem? spytałam pana Agenora.

— Jest to dwór hrabiego Witolda, odpowiedział; a ja przypomniałam sobie ową o hrabi Witoldzie rozmowę przy stole, która przed tygodniem tak żywo zajęła moją wyobraźnię.

— Czy pan znasz hr. Witolda spytałam.

— Z widzenia, odpowiedział pan Agenor, z pewną jak mi się zdawało obojętnością w głosie.

Powóz nasz powoli wjeżdżał na wzgórze przeciwległe temu, na jakim stał dwór modrzewiowy. Mogłam więc przypatrzeć się dobrze ożywionemu widokowi jaki przedstawiał.

Przed bramą naszego domu p. Agenor pomimo grzecznych zaprosin mojej matki, wymówił się powinnością odwiedzenia jednego z sąsiadów i pożegnał nas, rzuciwszy wprzód na mnie wymowne spojrzenie i zaniosłszy do mojej matki prośbę, o pozwolenie jak najprędszego wstąpienia w nasze progi.

XXX.

Zaczęło się tedy oddawanie wizyt w sąsiedztwie. A było ich wiele, bo matka moja pragnęła poznać mnie z całym towarzystwem wśród którego żyła. Wyjeżdżałyśmy więc parę razy na tydzień, czasem codziennie, poczem, naturalnie otrzymywałyśmy wzajemne odwiedziny, tak iż życie przechodziło mi w ciągłym ruchu i gwarze. Mnóstwo coraz nowych postaci i twarzy przesunęło się przed oczami, nie miałam czasu rozejrzeć się we własnych myślach i pocuciach, i zdawało mi się że byłam unoszona bystrą jakąś falą, ku coraz nowym miejscom pomiędzy coraz nowych ludzi, a wszędzie, wszyscy z przyjemnością spoglądali na piękne nasze powozy, gustowne urządzenie pokojów, strojne suknie w jakich byliśmy ubrane i chór pochwał spływał na nasze głowy, i roje grzeczności spadały pod nasze stopy, a żadnym sposobem odróżnić nie mogłam, czy były one wyłącznie naszą własnością, czy też tych akcesorji któreśmy błyszczały. I tylko czasem gdy zostawałam sama jedna w mojej sypialni, z białem światłem nocnej lampy ślizgającem się po ścianach, czułam, że mgliste dymy jakieś napełniały mi głowę, owijały myśl coraz gestszemi kłębami i długo musiałam mocować się z niemi, zanim udało mi się słabe w nich rozodrzedzić otwory i okiem trzeźwego ducha, spojrzeć przez nie na to, co mię otaczało.

Wtedy przedemną przesuwali się rzędem ludzie poznani a twarze ich były różne, smutne lub znudzone, złośliwe lub szyderskie, fałszywie uśmiechnięte lub mgliste patrzące a mało, bardzo mało między niemi spokojnych, otwartych, z pogodą szczęścia i niezmaczonego ducha na czole.

Na każdą prawie z tych twarzy wydobywał się brzydki robak jaki toczył piersi—spędzała go despotyczna dłoń zwyczaju i przyzwitości, niemniej jednak szare lub ogniste jego kręgi, wyglądały z za maski szpecąc jej oblicze...

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońska.

(Dalszy ciąg).

— Czy wiesz, że miss Silwester dom opuściła? — zapytała pani.

Estera kiwnęła głową.

— Czy wiesz, kiedy?

Kiwnęła znowu.

— Czy ją potem widziałaś?

Kiwnęła, potakująco.

— Gdzie?

Estera podjęła tabliczkę i napisała: „Na drodze, prowadzącej do kolei. Blisko zagrody pani Chew.”

— Cóż tam robiła?

— Chciałam trochę świeżem odetchnąć powietrzem.

— Czy miss Silwester ciebie widziała?

Pokręciła głową, że nie.

— Dokądże szła?

— Ku nizinie.

— A następnie?

— Ścieżką ku zajazdowi Craig Fernie.

Lady Lundie na równe porwała się nogi:

— Do karczmy! Więc do karczmy poszła!

Estera stała nieruchoma.

— Czyliż o tem mówiła komu?

Estera kiwnęła głową.

— Komu?

— Miss Bianca — napisała.

Lady Lundie zadrgnęła. Więc Bianca także drogę Anny śledziła? Jęj pasierbica na własną działała rękę i mogła jęj stanąć na przeszkodzie! Obrzżona śmiertelnie ucieczką Anny, postanowiła wykryć wszystko coby ją potępić mogło — i przez chrześcijańskie poczucie obowiązku, powiadomić o tem znajomych swoich. Skoro wszelako Bianca stanie po stronie tamtęj, pociągnęłoby to za sobą skutki, na jakie przygotowaną nie była. Za pierwsze przeto wzięła sobie zadanie, pomówić z Bianką i zakazać jęj wszelkich dalszych poszukiwań w tym względzie. Szarpnęła za dzwonek dwa razy co znaczyło, że przywołuje swoją garderobianę. Poczem zwróciła się znowu do Estery, która stała jak posąg z rysikiem w ręku.

— Postąpiłaś sobie źle bardzo — odezwała się z niezadowoleniem. Jestem twoją panią, i mnie jednę tylko powinnaś być powiedzieć o tem.

Estera pokłoniła głową, z poddaniem się.

— Miss Bianca nie jest twoją panią, więc nie należało odpowiadać na jęj pytanie, co do miss Silwester.

Estera napisała:

— „Nie miałam zakazu: A niczyich tajemnic nie przechowuję, tylko swoje własne.”

— Jesteś bezczelną kobietą! wrzasnęła lady Lundie gniewnie. Trzymałam ciebie aż nadto długo. Ale dość już tego! Gdy miesiąc się skończy, poszukaj sobie innego miejsca.

Najmniejsza zmiana nie przemknęła po licu odprawionej. Pokłoniła się, uznając wyrok wydany na siebie, opuściła sznurek z rysikiem i wyszła z pokoju. Biedna, żyła na świecie i pracowała a teraz wypchniętą z niego została, złożoną jakby do trumny i pochowaną w grobie.

Garderobna weszła.

— Idź do miss Bianki — rozkazała jęj pani — i powiedz jęj, by przyszła do mnie.... Przepuszczając jednak że pasierbica — może przyjść nie zechce, i wyższej będzie potrzeba powagi, zatrzymując ją zapytała: Gdzie jest sir Patrik?

— Mówił Duszkan, że pan jego jest w stajniach.

— Poślij Duszkan, niech go do mnie poprosi.

Rozporządzenia co do odjazdu panów myśliwych uskutecznione zostały. Zachodziło tylko jeszcze pytanie, czy sir Patrik będzie im mógł towarzyszyć. W tem go Duszkan do pani domu poprosił.

— Moi panowie — zagadał do gości — proszę o kwadrans czasu, a będę wiedział, czyli pojedę z wami lub w miejscu pozostanę.

Gdy odszedł, panowie jak prawdziwi Anglicy zaraz poczynili zakłady, czy Sir Patrik podlegnie owe-mu przesileniu spraw domowych — czyli też kryzys ta obejdzie się bez niego?

W niespełna kwadrans sir Patrik powrócił, Kryzys domowa obeszała się bez niego.

— Wszystko ułożyło się dobrze, moi panowie — wymówił — i jadę z wami. Prowadzą dwie drogi do leśnictwa. Dalsza wiedzie na Craig-Fernie, ale tamtą obrać musimy. Pojedziecie naprzód, a ja wstąpię na chwilę do karczmy, by z kimś tam pomówić.

Uspokoił lady Lundie, uspokoił Biankę ale pod warunkiem, że sam Anny w karczmie poszuka.

Przyprowadzono konie. Panowie powsiadali i Windygates opuścili.

DRUGA SCENA.

Karczma.

IX!

— Wybacz pani, ale hotel cały jest zajęty, prócz tego pokoiku z sypialnią — wymówiła mistress Inchbare, gospodyni zajezdnego domu w Craig Fernie, do Anny Silwester stojącej przed nią z sakiewką w ręku.

Mistress Inchbare była wysoka i chuda, a głowę jęj okrażało mnóstwo drobnych blond loczków, Miała opinię zaenęj niewiasty, przestrzegającej wszelkiej przyzwoitości i porządku w swoim hotelu, oraz słyneła z zasad surowego prezbiterjanizmu.

Targu z nią nigdy nie było żadnego i gdy raz cenę podała, pozostała przy niej niewzruszona i mogłes odejść gdy chciales, aleś grosza pewnie nawet jednego nie utargował? Jeżeli więc w uporze podobnym byles do niej, to mogłes się ujrzeć naraz jeden wędrowcem bez dachu, wśród dzikiej okolicy Szkocji.

Do tęj karczmy czyli hotelu, przybyła Anna sama, z niewielką torebką w ręku.

— Wyznacz pani cenę — odpowiedziała na wyższe hotelniczki wyrazy — a zaraz z góry zapłacę.

Mistress Inchbare ani spojrzęła na jęj sakiewkę.

— Mamy obiedwie wolną wolę — odrzekła — pani masz pieniądze a ja hotel, który ma reputację na okolicy całą, i szanowne w nim bywają osoby. Pani zaś wyglądasz mi za nadto dobrze, byś sama podróżowała.

— A czyliż nie powiedziałam, że mąż mój przyjdzie tu po mnie? odrzekła Anna z godnością i stłumiony westchnienie, upadła na pierwsze krzesło bo stać dłużej nie mogła.

Mistress Inchbare spojrzęła na nią tak samo, jakby patrzyła na wylicę zblękaną, która ze znużenia u drzwi jęj padła.

— Spocznij pani, proszę, i pozostań tu tymczasem póki mąż nie nadejdzie, gdyż wolę z nim samym się umówić.

Po jęj wydaleniu się Annę siły odbiegły, lzy powstrzymane dotąd strumieniem twarz jęj zalały, a serce niezrównana ścisnęła boleść. Każde bowiem podejrzenie w jęj położeniu obecnem, stawało się ciężką, podwójną dla niej boleścią. Zadumy przebudziła ją szmer bliski. Obejrzała się; człowiek jakiś kurz ścierał ze stolika w kąciuku. Wprowadził ją tu gdy przybyła, ale pozostał tak cichy, że teraz dopiero spostrzegła jego obecność.

Był to wiekowy już mężczyzna, ślepy na jedno oko, łysy, z nosem wielkim, czerwonym i pokrzywionymi nogami. Uśmiech łagodny igrał na jego ustach, a wszystko zdradzało w nim mimo przewrotności świata, dziwną mieszaninę dwóch przeciwieństw: służalstwa i niezależności. Nie upijał się nigdy, ale i najgwałtowniejszy odgłos dzwonka hotelowego, ruchu jęgo przyspieszyć nie zdołał: pełnił obowiązki pierwszego posługacza i był prawą ręką gospodyni. Nazywał się Bishopriggs.

— Cóż tu robisz? zapytała Anna cierpko.

— Kurz ocieram i porządkuję pokój dla pani.

— Dla mnie? Czy słyśzales co powiedziała gospodyni?

Posługacz przystąpił bliżej, wskazał palcem sakiewkę i rzekł poufnie:

— Niepotrzeba zważać na jęj słowa. Sakiewka mówi za panienkę. Póki pieniądz w kiesce, człowiek zawsze ma swoją wartość.

— Cóż ciebie ośmiela tak zuchwale przemawiać do mnie, zawołała Anna porywając się z krzesła.

Bishopriggs dzielił zdanie gospodyni, co do zapartywania się na położenie Anny, ale nie jęj surowość, pospieszył więc podrażnienie biednej złagodźć dziewczyny.

— Nie masz człowieka więcej pobłażliwego — wymówił, na wszelkie ułomności ludzkie. Jestem jednak za starym, ażeby ojcem być pani lub też udzielić jęj opiekę. Ale jakże będzie z objadem? Czy mąż przyjdzie albo nie przyjdzie, jeść wszelako potrzeba zawsze. Mamy rybę, kurę, baraninę.....

— Wszystko mi to jedno, proszę zostawić mnie samą.

— No, no, dobrze. Gdy pani jednakże czego zapotrzebujesz, to udaj się do mnie, a zrobisz mądrze. Nazywam się Bishopriggs. Siadaj pani i spocznij. Krzesło poręczowe zostaw dla małżonka, bo pewnie będzie znużony, dodał wychodząc z uśmiechem na ustach.

Anna spojrzęła na zegarek i obliczyła, że Godfryd za chwilę nadejść powinien, jeżeli w oznaczonym przez nią czasie opuścił Windygates. Skoro zaś nadejdzie, to położenie jęj w obec gospodyni zmieni się natychmiast.

Poza obrębem Windygates nie znała nikogo w Szkocji. Jęj cała przyszłość zależała od Godfryda, nie ażeby z nim dzielić ją miała, bo to było niepodobna, ale ażeby na uczciwą wejść drogę i uczciwą pozostać kobietą. Jedno szczególniej miała na myśli: swój przyszły z Bianką stosunek.

Czuła się pogiębioną strasznie, złamaną, lzy tylko, lzy jedynie całą były jęj ulgą. Lecz i te trzeba było połykać, ażeby ich Godfryd nie spostrzegł. Obejrzała się w koło, by czemś czarne myśli rozzerwać.

Umieblowanie pokoiku górskiej karczmy było nader skromne. Stara sofa, niezgrabne krzesło poręczowe; pstrym papierem polepiona ściana i zwykłe obrazy: królówęj, największego w świecie człowieka bohatera, księcia Wellingtona, dalej jeszcze, najznakomitszego członka parlamentu z tęj okolicy i polowani e jakieś. Z boku były drzwiczki, prowadzące

do sypialni, a po drugiej stronie okno wychodzące na podwórze, z widokiem na dalekie moczary.

Anna odwróciła się z rozpaczliwym w duszy uczuciem, i stanęła przy oknie. Obraz przed nim rozpostarty także coraz posępniejsze przybierał barwy: naciągnęła chmura i całkiem zakryła słońce. Odbiegła od okna i na sofę upadła by spocząć nieco. W tem doleciał ją z sieni stukot nadchodzących i głośno rozmawiających. Słuchała czy nie rozpozna Godfryda... Gospodyni przyjąc jej nie chciała, może to nowi przybyli goście, ale jacy? Zerwała się strwożona, wbiegła do sypialni i drzwi za sobą na zasuwkę zamknęła.

W tejże samej chwili weszli do pokoju Arnold z Bishopriggsem.

— Tu nie masz nikogo! zawołał pierwszy, obejmując się w koło.

— Ej, bo tam weszła ta dobra pani! wskazał posługacz sypialnię.

Arnold zawahał się. Poczł całą trudność swego położenia, Godfryd zażądał by przedstawił się w karczmie, jako małżonek Anny. Nie uchylił się jednak od tej przyjacielskiej usługi. Obecnie wszak, gdy potrzeba było spełnić swoje zobowiązanie, zmieszał się zwłaszcza gdy Bishopriggs dodał:

— Potrzeba zastukać i powiedzieć tej dobrej pani, że mąż przybył a zaraz się nam pokaże.

Nie wiedząc przeto co począć z sobą, zapytał:

— Gdzie jest gospodyni?

— Robi porządek po domu — odrzekł sługa — ale nadejdzie tutaj niebawem i o wszystko pana wypytam: czym jesteś? co począł? z kąd przybywasz? Dzielna to kobieta i wszystkie sprawy domowe na swoich dźwiga barkach. Lecz tej dobrej pani jam zapewnił wygody, o ile mogłem. Zaufaj mi pan zupełnie, zupełnie!

Arnold tymczasem zatopił się w myślach, jakby zawiadomić Annę o przybyciu swoim i poleconem mu poselstwie.

— Cóż ja począć? — poszepnął sam do siebie i spojrzął ku drzwiom sypialni.

Posługacz dosłyszał tych wyrazów, i niepokój lica Arnolda odbił się nagle na twarzy jego. Posiadał on pod każdym względem doświadczenie wielkie. Drużbował na niejednym weselu, i zastępował nieraz ojców przy podobnych obrzędach. Umiał poznać świeżo zaślubione pary i udające, że są poślubione eddawną; poznawał małżeństwa tajemnie związane i takie, które uprawnienia związku małżeńskiego wedle obyczaju krajowego szukają. Obecny wszelako wypadek: małżonek stojący trwożliwie przy drzwiach, a żona na klucz w sypialni zamknięta, był dlań nowością zupełną.

— Potrzeba ażeby wyszła — wymówił — a pokaże zaraz co zrobić — przybiegł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Pani dobra, mąż jest tu z ciałem i duszą! Otwórz drzwi mężulkowi!

Dał się słyszeć zgrzyt obróconego w zamku klucza. — Teraz odejdę, odezwał się posługacz. Proszę zawołać gdy będę potrzebny, zastukam pierwój zawsze nim wejść — i wybiegł z pośpiechem o ile mu na to kulawe dozwoliły nogi.

Drzwi sypialni uchyliły się zlekka i Anna zapytała ostrożnie:

— Czy to Godfryd?

Arnolda serce uderzyło, bo uczuł że stanowcza nadeszła chwila. Nie wiedząc jednak co odpowiedzieć milczał.

— Czy to ty? powtórzyła Anna głośniej.

Dłuższe milczenie mogło ją zaniepokoić. Więc z cicha odpowiedział:

— Tak — pomyślałszy: trudna rada, niech się stanie co zechce.

Drzwi rozwarły się nagle, Anna w progu stanęła.

— Pan Brinkworth! zawołała i pobladła jak cień. Chwilowe nastąpiło milczenie. Anna weszła do pokoju i zapytała go z wyrazem zdziwienia i podejrzliwości:

— Co pan tu robisz?

— Mam list do pani — odrzekł, bo pismo Godfryda było jedynem dlań tłumaczeniem.

Przeczcucie zdrady Godfryda ugodziło Annę w sam głębi serca i listu odebrać nie chciała.

— Nie spodziewam się listu żadnego, zawołała. Któż panu powiedział, że tu jestem? Czy jestem pod strażą? Czy pan mnie szpiegujesz?

— Pani znasz mnie mało, powinnaś mnie wszelako była poznać lepiej — odrzekł Arnold spokojnie. Przynoszę pani list od Godfryda.

Zadrgnęły jej usta, by to imię powtórzyć — lecz powstrzymała się nagle i zapytała chłodno:

— Czy od pana Delamayn?

— Tak pani.

— Jakiż powód do tej ze mną korespondencji? zapytała gdyż postanowiła nie przyznawać się do niczego. Ale Arnold nagle do rzeczy przystąpił.

— Miss Silvester, — rzekł, pragnąłem przedmiot niemiły pominąć. Skoro jednak pani listu przyjąc nie chcesz muszę dla mnie wielce nieprzyjemne spełnić zlecenie.

Spazmatyczne drżenie przebiegło jej rysy, bo zaczęła domyślać się wszystkiego, że przez wrodzoną mu szlachetność nie chciał jej przynieść boleści.

— Mów... mów pan — wyrzekła z ciężkością.

— Nie urażaj się pani! Polecenie dał mi Godfryd, a jesteśmy przyjaciółmi dawnymi. On ufa mi zupełnie...

— Ufa?... Boże!.. Milcz pan!.. Gdym jeszcze była w sypialni, wyrzekła jakoby sama do siebie, zapytałam: „Czy to Godfryd?” a odpowiedział mi: „tak.” O! wrzasnęła nagle przerażona i blada jak mara: On mówił panu...!

— Na miłość Boga, przeczytaj pani list!

Odepcnęła rękę jego wyciągniętą z listem.

— Mówił panu... i nie możesz spojrzeć na mnie.

— Przeczytaj pani list przez uczucie sprawiedliwości dla niego, jeżeli nie dla mnie! — wyrzekł Arnold ze stanowczością, gdyż położenie jego stawało się coraz przykrzejszem. Musisz go pani przeczytać!

Odebrała list drżącą rękę.

— Przepraszam sir, wymówiła z nagłą pokorą, więcej drażniącą jeszcze. Zrozumiałam położenie moje. Jestem podwójnie zdradzoną. Wybacz wyrazom które wymówiłam sądząc, że jeszcze pański posiadam szacunek. Teraz może litość ofiarujesz, bo więcej żądać nie mogę.

Arnold milczał. Słowa nie starczyły w obec takiego potępienia samą siebie. Każdego i Godfryda nawet byłoby pewno poruszyło to silnie do samej głębi.

Spojrzła na list i jęknęła boleśnie.

— Moje pismo! poszepnęła drżąc cała — w rękę obcemu!

— Obacz pani na drugiej stronie.

Odwróciła stronicę, przeczytała szybko i zawołała: — Podły nikczemnik! — zgmiotła papier w dłoń i rzuciła go na drugi koniec pokoju. Lecz w tejże chwili opuściły ją siły, przygasł podniecony ogień zgrozy, słaba, złamana, wyciągnęła rękę i odwrócona od Arnolda na bliskie upadła krzesło. Opuścił mnie! Porzucił! dodała głucho głosem pełnym rozpacz.

— Mylisz się pani! Czytałem list brata jego by do konającego spieszył ojca.

Nie poruszyła się, złamanym powtarzając głosem:

— Porzucił mnie!

— Nie przypuszczaj pani tego! Nie sądź go niesprawiedliwie! Jestem pewny że tu przybędzie.

Siedziała jak martwa, jakby zmysłów pozbawiona

a niepodobna było gospodynię przywołać. Pochylił się nad nią, dotknął jej ręki nieśmiało i wymówił głosem serdecznej, dziecięcej niemal prostoty:

— Przyjdź do siebie! Uspokój się pani!

Spojrzła na niego z rzewnem zdumieniem:

— Czy powiedział panu wszystko?

— Tak.

— I nie pogardzasz mną?

Ścisnęło się serce młodego litością, a przed oczyma duszy stanęła niewiasta święta dlań na zawsze, która dała mu życie, i cicho lecz z siłą przekonania wymówił:

— Czyliż mężczyzna który czci matkę swoją, może dla kobiety uczuć pogardę?

Twarz jej najdotkliwszą wyrażała boleść. Podążyła mu rękę, poszepnęła podziękę i łzy zalały jej oczy. Arnold zwrócił się do okna z wielkiem wzruszeniem.

— Chciałem dobrze zrobić, wymówił, a zraniłem mimowoli.

— Nie, nie! zawołała tłumiąc uczucie boleści, pocieszył mnie raczej! Dozwól mi płakać, bo łzy są ulgą. Zbliży się panie Brinkworth, chcę ci podziękować! Zbliży się, bo będę myślała, że gniewasz się na mnie — podała mu rękę. Nie wszyscy boleść zrozumieć potrafią... myślałam, że pan jesteś jak drudzy. Nie znałam pana, nie wiedziałam ile jesteś szlachetny. Czy pieszo tu przybyłeś, sir? zapytała nagle, jak gdyby pragnęła przedmiot zmienić rozmowy. Jesteś zmęczony. Nie zostałem tu dobrze przyjętą. Ale pozwól sobie służyć tem co mają.

Niepodobna aby ta rozpacz jej silnego nie obudziła współczucia, więc też Arnold ozwał się serdecznie:

— Pragnę jedynie tylko stać się użytecznym: czy mogę tutaj coś dla pani uczynić? Winnas tu pozostać, jest to bowiem życzeniem Godfryda.

Zadrżała silnie.

— Tak... tak! odrzekła szybko.

— Za dni parę posłyszysz pani o nim. Napiszę zapewne.

— Na Boga! nie wspominaj go więcej! — zawołała. Czy pan sądzisz, że mogę spojrzeć ci w oczy? Lica jej ciemny powłókl rumieniec, z mocą jednak niezwykłą mówiła dalej: Jestem żoną Godfryda jeżeli przysięga jego nadaje mi to prawo. Zaklął się na wszystko, cokolwiek dlań jest świętem... Ale, Boże mój, po cóż to mówię? To przecież nie może zajmować pana. Raczej o coś innego zapytam. Czy widziałeś gospodynię?

— Nie widziałem jej.

— Czyniła uwagi jakiejś... Nie chciała mnie tu przyjąc, ponieważ sama przybyłam.

— Nie będzie już teraz robiła trudności, załatwiłem wszystko.

— Pan?

— Tak jest — odrzekł z uśmiechem bo po przebytej scenie zwolniony z ciężaru, ujrzał jaśniejszą stronę położenia swojego. Gdym zapytał o panią, która dziś po południu tu przybyła...

— Jakże zapytałeś?

— Musiałem, w interesie pani, zapytać o moją żonę.

Anna spojrzła na niego z trwogą i ze zdumieniem.

— Zapytałeś o mnie..., jako o swoją żonę?

— Tak. Wszakżeż nie zrobiłem nic złego? Godfryd mi mówił, że miał tutaj przedstawić się jako małżonek...

— Tak, on, ale nie pan!

— To wszystko jedno, gdyż chodziło tylko o ludzi tutejszych.

— Nie pojmuję...

— Godfryd powiedział, że położenie pani wymaga, bym tutaj zastępując go, w charakterze męża pani wystąpił.

— Nie powinien tego być żądać!

— Myślę, że stało się dobrze. Bo gdybym ja, mło-

dy, jak jestem, zjawiał się był jako przyjaciel pani, gospodyni byłaby zapewne co do mieszkania, większe jeszcze stawiała trudności.

Chociaż było to prawdą zupełną, ogarnęła ją jednak trwoga nieokreślona, nagła, bo niby przejrzała co nastąpić może. Sama ułożyła wszystko, nie przewidując oczywiście, że Godfryd do Londynu pojedzie, i że go tutaj ktoś inny zastąpi. Zraniło ją dotkliwie uczucie odpowiedzialności za skutki nieoględnego czynu, i w nerwowym niepokoju, rwała chusteczkę którą w ręku trzymała.

— Nie sądzę pani, że mnie to niepokoi w czemkolwiek, usłużyłem przyjacielowi dawnemu jako też i pani, która wkrótce jego będziesz małżonką.

Anna zerwała się z siedzenia i zapytała:

— Wybacz, pan... ale, kiedy myślisz oddalić się stąd?

Arnold spojrzął na nią zdziwiony.

— Nie myśl pani o tem!

Anna położyła rękę na ramieniu jego i wyrzekła poważnie:

— Bianka!

— Bianka? powtórzył Arnold, nierozumiejąc jęj.

— Tak, Bianka. Wyznała mi wszystko dziś rano. Wiem że jesteście po słowie.

— Pomówmy o Biance, ale nie sądzę pani, bym odszedł tak zaraz.

Anna poruszyła się niecierpliwie, ale Arnold jedynym tylko zajęty przedmiotem nie zważał na to.

— Pani znasz jęj nawyknięcia, jęj upodobania, rzekł, wiesz dobrze co ona lubi, i czego nie lubi. O zechciej mnie tego wszystkiego nauczyć! Bianka, jako żona moja, będzie samowolną zupełnie. Tak ja rozumiem małżeństwo. Lecz pani stoisz... pozwól! i podał jęj krzesło.

Biedna stała nieruchoma trwogą przybita. Nie pojmowała całkiem, o ile naraził się zapytując o żonę swoją w karczmie. A oddajmy sprawiedliwość Godfrydowi, że i jemu to ani w myśli nie powstało. Nie znali dokładnie praw małżeńskich w Szkocji — które są prawdziwą zasadzką aż do dziś dnia, dla niezameżnych kobiet i nieżonatych mężczyzn. Umysł Godfryda zbyt był ograniczonym, lecz Anna wyraźniej dojrzała, że prawo które w ten sposób ułatwia potajemne małżeństwa, mogło dla Arnolda za przyjacielską przysługę wielce nieprzyjemne i niebezpieczne sprowadzić następstwa. Zaniepokojona tą myślą, nie chciała przyjąć krzesła, ni też dalszą prowadzić rozmowę.

— Cokolwiek moglibyśmy mówić o Biance, panie Brinkworth, odezwała się wreszcie po chwili, proszę, byśmy to do właściwej odłożyli pory. Zatem, opuść mnie pan!

— Mam panią zostawić samą?

— Tak. Masz moją podziękę. Bywaj zdrów!

— Skoro muszę odejść, to odejdę — odrzekł z niepokonanem zdziwieniem, ale po cóż ten pośpiech?

— Nie nazywaj mnie więcej żoną swoją, w obec tych ludzi tutaj. Pamiętaj, proszę cię o to.

— Czegoż się pani lękaasz?

Nie mogła odpowiedzieć gdyż sama wszystkiego dobrze nie pojmowała. Szukała zatem wymówki innej, i wyrzekła:

— Mam powody do obawy. Jeden, którego wymienić nie mogę, a drugi Bianka nastęrcza. Gdyby ona posłyszała przypadkiem o bytności pana tutaj... i jego nieszczęśliwem o mnie zapytaniu... mogłaby Bóg wie co sądzić. Jeżeli zaś dłużej tu zabawisz, z łatwością to może nastąpić.

— A gdyby i posłyszała, czy przypuszczasz, że gniewałaby się za to żem pani w tem miejscu uczynił przysługę?

— Tak... ale, gdyby była zazdrosną — wymówiłaby z przyciskiem.

— Niepodobna! zawołał z całą wiarą, w ukochną.

Jakkolwiek strwożona i własną złamaną niedolą, Anna której po licu lekki przemknął uśmiech wyrzekła:

— Sir Patrik objaśniłby pana, że nie masz nic niepodobnego cokolwiek dotyczy się kobiet. Nie możesz postawić się na miejscu Bianki, i czuć coby ona czuła w podobnym wypadku. Odejdź więc proszę i nie przychodź tu więcej. Nie chcę tego stanowczo. Gdy podała mu rękę na pożegnanie, w tejże chwili ktoś mocno we drzwi zapukał.

Anna krzyknęła słabo i na krzesło upadła: Arnold nie pojmując czego by się lękała, wyrzekł wedle zwyczaju:

— Proszę wejść!

X.

Stuknięcie we drzwi powtórzyło się raz drugi, a mocniej.

— Czyś głuchy! krzyknął Arnold.

Drzwi otworzono z wolna i wsunął się tajemniczo Bishopriggs, niosąc serwetę, talerze i noże.

— Czemuż do licha nie wszedłeś zaraz?

— Przecie mówiłem, że pierwój zastukam mocno, nim wejdem... znam się przecie na rzeczy — odrzekł, i począł stół nakrywać. Wiem co czynić wypada i mam znajomość świata. Ot, i nakryłem dla obojga państwa: dla młodego małżeństwa.

Anna zmieszana powstała, i przystąpiła do okna. Arnolda wszelako zajęła oryginalność posługacza i rzekł żartobliwie:

— Jedno nakrycie połóż z tej strony, a drugie z tamtej.

— Tak, tak! A czy przyniesie także bułeczkę Sherog?

Arnold kiwnął głową, a potem na skinienie Anny, także do okna przystąpił i poczęli zeicha, rozmawiać z sobą. Bishopriggs patrzył na nich z zadowoleniem, i kiwając głową, wymówił:

— Tak, tak: potrzeba ojca opuścić i matkę, a pójść z małżonką — poczem w zamyśleniu przystąpił do stolika w rogu pokoju by chleba ukroić. W tem spostrzegł papier w gałkę zwinięty leżący w kąci, podniósł go, był to list Godfryda, który Anna zgnośliła i rzuciła. Nie pomyśleli o nim ni ona, ni Arnold.

— Co to? pomruknał. List jakiś? rzecz szczególna! A przecież zmiotłem, niedawno. Rozwinął papier. Pisany tu atramentem, tu ołówkiem? Rzecz ciekawa! — spojrzął na Annę i Arnolda, którzy ciągle, z zajęciem rozmawiali z sobą. Cóż z tem zrobić? Znalazłem to i schowam, a potem zobaczę to może przyda się na co.

— Idę po objad — wymówił głośno, chowając list do kieszeni, a gdy powrócę, to nie będę mógł zastukać, i wyszedł do kuchni.

Arnold i Anna ciągle jeszcze rozmawiali.

— Niepodobna odejść zaraz, — mówił Arnold — pani widzisz, że posługacz obiad przyniesie. Cóżby więc powiedzieli w domu, gdybym teraz odszedł.

Potrzeba było oczywiście zachować pozory, Arnold był nieostrożnym, ale miał słusność, Anna własnymi dręczona myślami, odbiegła od okna i rzuciła się na sofę. „Ściga mnie przekleństwo” — poszepnęła sobie w duszy z goryczą — „to źle się skończy a ja będę musiała odpowiedzieć za wszystko!”

Objad stał już przygotowany w kuchni gdy Bishopriggs poszedł po niego. Podjął więc tacę, lecz zamiast ponieść ją do pokoju, wszedł do swojej komórki drzwi zamknął, wyjął list znaleziony i włożył go do szafki.

— Leż tutaj spokojnie — wymówił — jak będę miał czas, to rozpatrzę się w tobie. A teraz dalej do objadu. Sprobuję czy kucharka wszystko zgotowała smacznie. Turkaweczki nasycają się miłością, to i niepotrzebują innego pokarmu. Te klopsy niby są nie złe. Zobaczymy! Jarmużek także. A tutaj — Pstrągi! I tych potrzeba skosztować. Dla turkawek będzie tego dosyć. Poczem odkorkował butelkę z winem Sherry. „Muszę i tego spróbować, bo to powinność jest moja.” Upił jednakże za wiele więc sumiecznie tyleż dolał wody, mrużąc: Będzie to zdrowszem dla turkawek. A teraz dalej! — podjął tacę i wyszedł.

Anna niepokojem trawiona, powstała z sofy i znowu przystąpiła do okna.

— Jak też tam przypuszczają w Windygates gdzie pan teraz jesteś? zapytała.

— Myślą, żem w drodze do siebie.

— A jakżeż się tam dostaniesz?

— Koleją. Lecz po objedzie gospodyni przyjdzie tu pewno, to i cóż powie, że tutaj żonę moją zostawiam samą?

— Panie Brinkworth, jest to żart gorzki!

— Wybacz pani!

— Pojedziesz pociągiem przez góry?

— Tak.

Drzwi otworzono szeroko — i Bishopriggs ukazał się z objadem.

Anna ze drżeniem oddaliła się od Arnolda.

— A mówiłem przecie — zagadał posługacz — że niosąc objad, nie będę mógł zastukać. Więc nie gniewaj się pani.

— Siadajmy! ozwał się Arnold, przerywając. Wybieraj miejsce!

Anna przysunęła krzesło niecierpliwie i na drugim rogu stołu usiadła.

— To przecie nie wypada, poszepnął Bishopriggs tak daleko od mężulka!

Anna spojrziała na niego z gniewem.

— Niechaj plecie co mu się podoba i cóż to szkodzi? poszepał jęj Arnold.

— Nie mogę znieść tego dłużej! odparła.

Arnold usiadł, Bishopriggs stanął za niemi w podwójnym charakterze, jako major-domo i anioł opiekuńczy.

Anna siedziała nieruchoma.

— Bo ostygnie wszystko! prosił Arnold, i podał jęj półmisek.

W tym czasie zwrócił się Bishopriggs do okna i zawołał:

— Ot! jak to dobrze, że państwo jesteście pod dachem, bo burza nadciąga.

— Burza? powtórzyła Anna.

— Nie trwóż się pani. Będzie tu wygodnie, bezpiecznie....

Zapukano we drzwi — i ukazała się gospodyni.

— Przychodzę zajrzeć czy państwo macie co potrzeba, i zwracając się do Arnolda dodała, czy wszystko jest w porządku?

— Wszystko jest dobrze.

Wybacz pan, mówiła dalej mistress Inchbare, byłam zajęta, gdy pan przybyłeś. Więc pozwól Sir, że zapytam teraz: czy pan zatrzymasz te pokoje dla siebie i dla żony swojej?

Dalszy ci6g opisu dodatku arkuszowego, dołączanego do N. 5 Tyg. M6d.

N. 30. Czepeczek strojny z kwiatami.

Fasonik tego czepeczka stanowi kawałek sztywnego tiulu, maj6cy 10 cent. szerokości a 13 centim. długości, z przodu ścięty w z6b spiczasty, z tyłu zaokr6glony i w okolo oszyty lincikiem,



N. 2. Berta z r6kawami. Prz6d:

i połączone bukietem r6z. Garnirunek z przodu stanowi rusza krepowa 3 i p6ł cent. szeroka i marszczona blendyna, ułożona podług wzoru N. 30. Z lewej strony przypięta zielona gał6zka r6z.

N. 31. Czepeczek ubrany wst6żk6.

Na fasoniku ze sztywnego tiulu układa si6 w poprzek trzy bufy z tiulu do prania. Prz6d czepeczka ogarniowany rusz6 tiulow6 5 cent. szerok6, z dw6ch stron oszyt6 w6ziutk6 koronk6; srodkiem ruszy rulonik ze wst6żki, takie¿ ruloniki



N. 3. Pelerynka z mankietkami.

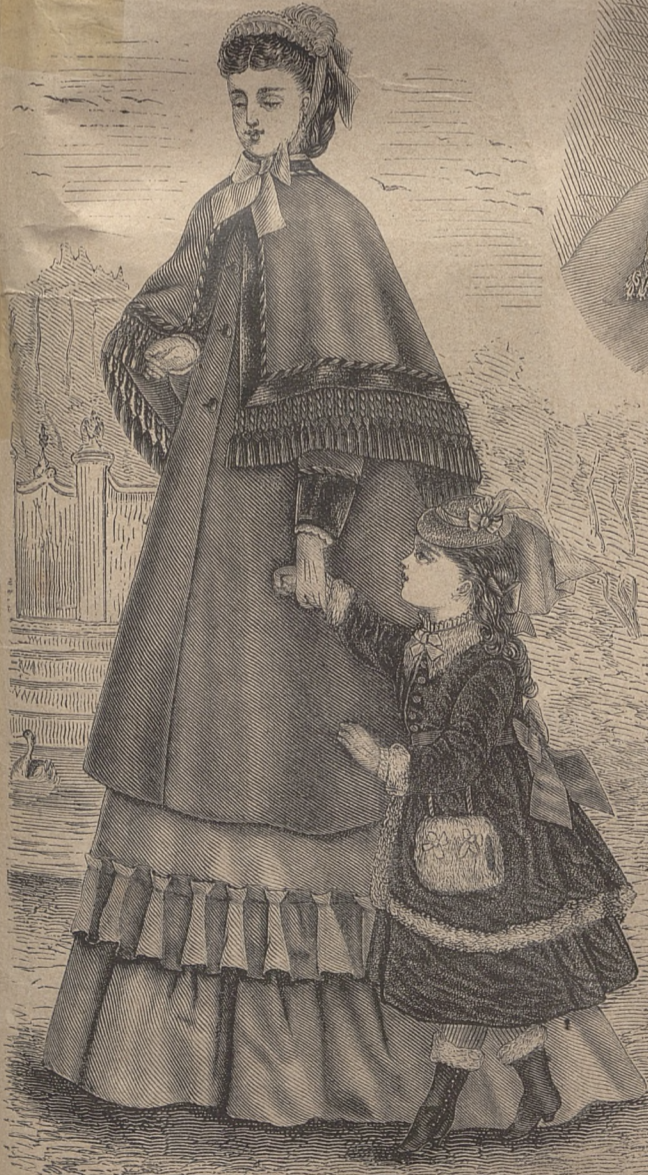
przedzi6laj6 bufki. Karczek stanowi falbana tiulowa w kontrafałdy ułożona, 47 cent. długa, oszyta koronk6 7 cent. szerok6 w srodku maj6ca 12 cent. szerokości, a ku koŃcowi nieco zwężona. Barbki, około 56 cent. długe, złożone ze wstawki koronkowej 2 cent. szerokiej, z w6skiego koronkowego brzeżku i wst6żki kolorowej 9

N. 1. M6slinowa bluzka z haftem i koronk6.

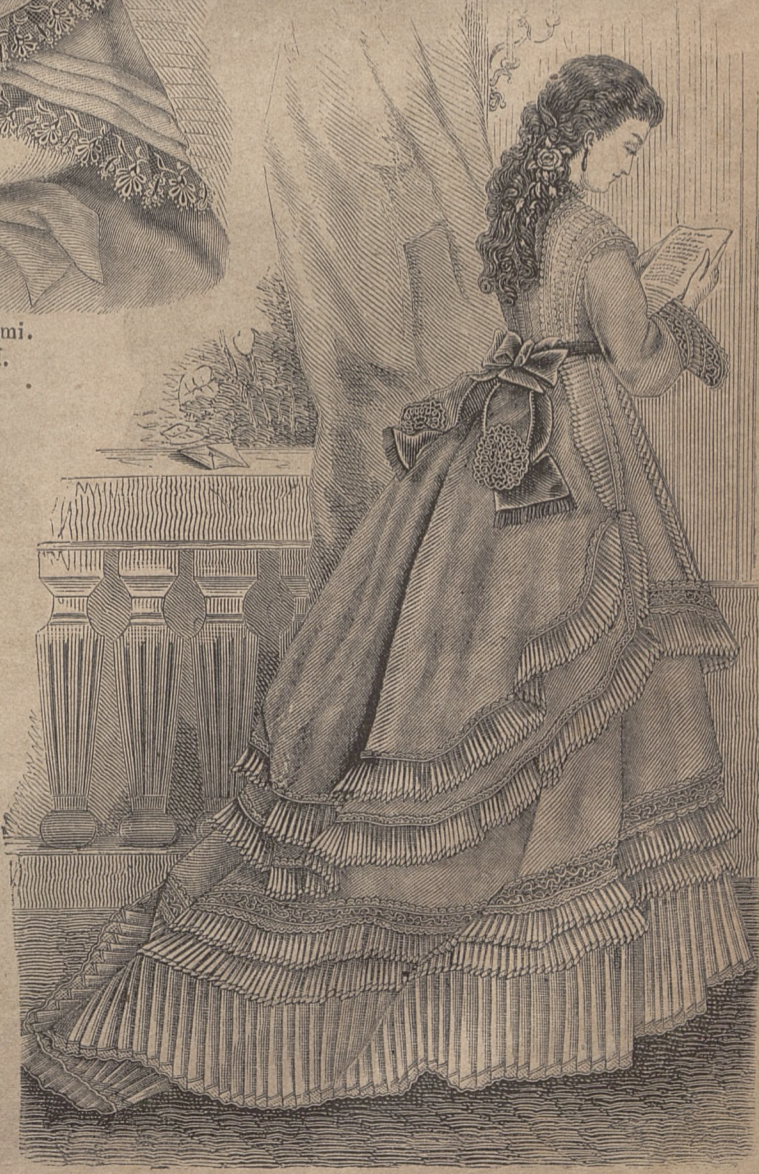
objętym ałf6sem zielonym. Z przodu do fasoniku przyt6ma si6 dwa sfałdowane koŃce z krepy 70 cent. długe, 16 centym. szerokie, oszyte blondyn6 7 cent. szerok6



N. 4. Fałdowana berta z r6kawami. Kr6j i opis na dodatku N. XIII. Fig. 30-31.



N. 5. Płaszczyk z peleryn6. N. 6. Zimowe ubranie dziewczynki. Zobacz takie¿ ryc. 13 i 14. Kr6j i opis na dodatku N. XVI Fig. 37-37a.



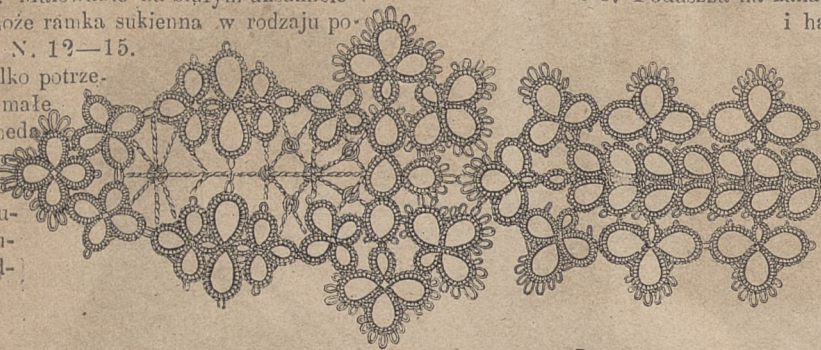
N. 7. Wieczorowa suknia.

cent. szerokiej, na pół przeciętej, brzegiem wysiepanej, spięte są kokardą. Taką przecięta i wysiepana wstążka przykrywa przyszyte karczka. Nakoniec, jak to N. 31 wskazuje, w rusze z przodu wpięte są kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej, nad karczkiem zaś suta kokarda ze wstążki 9 cent. szerokiej.

N. 32. Koszyk na drzewo ozdobiony haftem.

W gęsto plecionym koszyku tak z frontu jak z boków pozostawione miejsca na medaljony, otoczone są ramką z trzciny żółtej; pod tę ramkę zakłada się haft kolorowy, aplikacja, lub malowanie. Różne podawane w poprzedzających numerach medaljonyowe rysunki, na ten cel służyć mogą. Malowanie na białym aksaminie otaczać może ramka sukienna w rodzaju podanej pod N. 12—15.

Baczyć tylko potrzeba, ażeby małe boczne medaljony odpowiadały rozmiarom i układem dużemu środkowemu.



N. 9. Barbka frywolitkowa.

N. 33—34. Próbką ścięgu tunetańskiego na kapurki, mułki i t. p.

Dla łatwiejszego zrozumienia ścięgu, podajemy próbkę roboty tunetańskiej z prawej i lewej strony. Układ nitki wskazuje nam, że po odrobieniu pierwszego początkowego rzędu łańcuszka, rząd następny już nie w środek oczek, ale przez cały łańcuszek jest zajmowany. W następnym rzędzie zarzuca się nitkę na szydełko jak do roboty słupków i przeciąga się oczko przez środek oka rzędu poprzedzającego, obejmując łańcuszek. Przy robocie wstecznej, trzeba zarzucać nitkę i oczko zrobić razem ścięciem oczkiem łańcuszkowem. W dalszych rzędach ciągle idąc naprzód zarzuca się nitkę na szydełko, przejmując na wskrós przez łańcuszek i oczko poprzedniego rzędu, nie zajmując jednakże pojedynczej nitki, która (jak N. 34 wskazuje) luźno przechodzić powinna z lewej strony między rzędami.

N. 35—36. Patarafki pod flakony.

Na białej pice, kanwie Jawa, kaszmirze lub t. p. ścięciem dzierganym lub długim przewłóconym, odrobić można kolorową bawełną, włóczką lub czarnym cienkim jedwabiem desen patarafki lub serwetki rozmaitej wielkości podług wzoru N. 35 i 36. Frendzelka powinna być wełniana lub bawełniana stosownie do materiału użytego.

Kwiaty papierowe.

Materiał: Średniej grubości nici złote, perełki złote i kryształowe, perełki woskowe dwójakiej wielkości, bibułki w trzech odcieniach różowych, w kolorze białym, karmazynowym, złoto żółtym, w dwóch cieniach fioletkowych, papier karmazynowy, zielony do cienia i t. p. Cienki drucik i przyrządy do roboty.

Podajemy czytelnikom naszym wzory różnych ładnych i łatwych do wykonania kwiatów. Ułożone na mechu w koszyczku z perełek N. 58, dobrze naśladują kwiaty naturalne. Komu nie chodzi o wydatek a chce ująć sobie pracy może szypułki, kielichy, liście i gotowy okiepany drucik kupić w fabryce kwiatów na tuzinie, a same już tylko odrobić kwiaty.

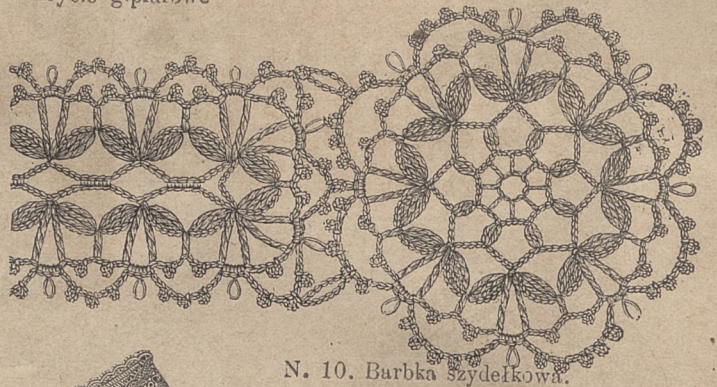
N. 37—39. Narcyz pojedynczy.

Z podwójnie wziętej bibułki



N. 8. Poduszka na kanapę. Pokrycie gipsiurawe i haft.

żółtej robi się środeczek narcyza, kropkuje farbą czerwoną i mocno do drucika przywiązuje, wraz z otaczającym go drobiutko fałdowanym 1 cent. szerokim kielichem żółtym, którego górny brzeżek zakończy czerwony wany prążek. Kwiat narcyza wycina się z białego linowego papieru, w sposób pod N. 38 wskazany, w kość pojedynczego listka wskazuje N. 39. Następnie każdy listek mocno załamuje się środkiem, wygina i odrywa nożyczkami, następnie zakłada na drucik, dodając liść zielony i gęstą gummą przykleja.



N. 10. Barbka szydełkowa.



N. 11. Stanik z bufkami na gorset. Krój i opis na dodatku N. XII.

N. 40—42. Dwie róże odmiennego układu i wykonania.

Niezupełnie rozwiniętą różę nader łatwo odrobić na sposobem wskazanym, na zmniejszonym rysunku N. 40. Jak to jest widoczne, listki nie są pojedyncze, lecz wstęgi razem wycięte, na tyłu szczyrówka wywijana, wciśnięta i zaginana jak układ róży wymaga. Następnie owija się około drucika, zakleja gummą i dodaje kielich zielony.

Rozkwitła centofolja układa się z kilku rzędów pojedynczych listków, wykrojonych podług N. 42. W środku potrzeba cokolwiek mniejszych, a na zakończeniu większych listków. Tu już każdy listek z osobna może być kulką na poduszeczce wyciskany, a następnie ranniej układany i naklejony gummą. W ogólności bota kwiatów jakkolwiek łatwa, wymaga koniecznie czujnej ręki, gustu i wprawy.

N. 43. Ramia pełny.

Żółty środek kupuje się gotowy lub nakleja do białuchną żółtą bawołą szką. Liście wycina się jednym cięciem z linowego papieru, stojącej w jednej kości, nacina i zaokrągla w końcu podług wzoru śpiłki, suje zagłębioną na dłoni, a następnie mniejsze listki jednorazowo



N. 12. Płaszcz z perelerną. Krój i opis na dodatku N. XVI. Fig. 37—37a.



N. 12. Płaszcz dla dziecka. Krój karczka i opis na dodatku N. VIII Fig. 13.



N. 13. Płaszcz z peleryną i kapturkiem. Krój i opis na dodatku N. XVI. Fig. 37—37a.



N. 15. Czapeczka mężka. Zobacz także ryc. 16.

N. 44 — 45. Jaśmin.

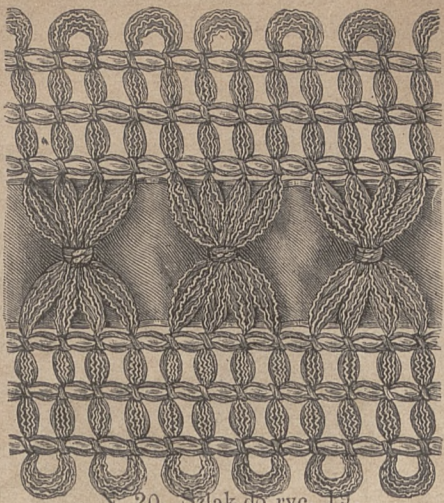
Podług dwóch listków podanych pod N. 45, wycina się z białego linowego papieru razem z końcem w kwiatkach niezupełnie rozwiniętych w środku, a w rozwiniętych na zewnątrz, zakłada i zagina u dołu i okleja około środkowych szypulek, których końce owinięte są bibułką mocno poprzednio przytwierdzoną do drucika.



N. 15. Dalej do czapeczki N. 15.

N. 46—47. Biała werwena.

Pięć listków kwiatka wycina się razem z białego listowego papieru, układa w rękę i przykleja do druczku, do którego wypier przytwierdzić trzeba żółtą kuleczkę.



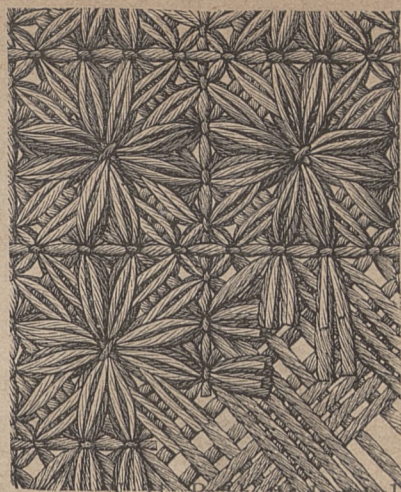
N. 20. Szlak do ryc. 19.

N. 48—49. Karmazynowa werwena.

Z papieru karmazynowego wycina się kwiateczek podług wzoru N. 49, daje żółty środek i przykleja do druczka.



N. 18. Frenuzia na drutach do ryc. 17.



N. 21. Probka tła do ryc. 19. Wierzch.

niony mchem i kwiatami, który zarówno między drobiazgami na toalecie, jak i na stoliczku do robót może być postawiony.

N. 59 wskazuje sposób wykonania dna. N. 60 przedstawia w zmniejszeniu pałeczki. Podstawę dna stanowi koło z grubego mosiężnego drutu mające 11 cent. w średnim przecięciu; tę podstawkę każdy blacharz lub druciarz z łatwością dorobi. Siedm kółek mających po 7

cent. obwodu powiązane z sobą, otaczają okrąg dna; środek zapełniają dwa jedno w drugim kółka, połączone na krzyż drutem. Do nich przylutowane w odstępach trzy uszka blaszane na których stoj koszyczki. Każde z siedmiu brzeźnych kółek przyozdabia i zapełnia rozeta sztydełkowa z nici złotej z perełką kryształową w środku; następnie tak okrąg dna jak i pojedynczych kółek owija się gęsto i łączy z sobą złotą nitką lub złotymi perełkami, na mocną nić nawleczonemi. W takiż sam sposób pokrywa się pałeczki i górny okrąg, zapełniając i przyozdabiając podług wzoru próżne miejsca perłami przewlekane paciorkami złotymi. Górny okrąg koszyczka stanowi koło z drutu, mające 70 cent. obwodu, za pomocą cieńszych drutów z podstawką połączone.



N. 23. Szal kaszmirowy. Zobacz ryc. 24—26.

N. 50—51. Kwiat mirtu.

Trzy do czterech pojedynczych kwiateczków, nieco stopniowanej wielkości wycina się z białej bibułki podług wzoru N. 51, wygina listki do środka i zakłada jeden na drugim około środka. Kilka pałeczek kupionych w fabryce nadaje bukiecikom większe podobieństwo do naturalnych.

N. 52—53. Niezapomnianki.

Podług rysunku 53 wycina się kwiateczki z niebieskiego papieru i gładko przykleja do małego środka z bibułki żółtej.

N. 54—55. Goździki.

Z karmazynowego papieru, różowej lub żółtej bibułki wycina się kółka, składa ośm razy, wycina u góry w ząbki, nacina do połowy, następnie tak jak jest złożony od rogu ku górze zakręca i ścisła, ażeby odjąć sztywność i nasładować fryzowanie listków. Z chorągiewki od pióra dodaje się środek i stosownie do żądanej wielkości sześć lub ośm przysposobionych kółek, założyć jedno na drugie, przywiązać i nakleić kielich zielony.

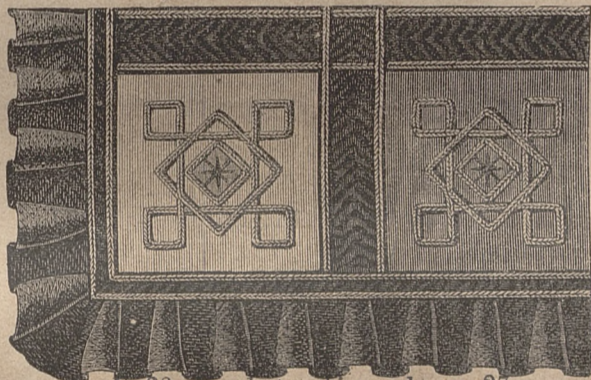
N. 55. Podaje zmniejszony wzór pojedynczego kółka.

N. 56—57. Mak pojedynczy.

Trochę waty owija się zielonym, glansowanym papierem, nadając kształt do makówki podobny, potem przewiązuje czarną nicią wzdłuż osiem razy. Środek otacza się czarnymi gumowanymi nitkami z nalepionymi w końcu ziareczkami maku. Następnie podług formy 57 wykonywa się 6—8 listków, zakłada w fałdki od dołu i tak jak do goździka zakręca, układa po dwa na przeciw siebie, mocno przywiązuje i od spodu trochę skleja jeden z drugim, na koniec okleja kielich zieloną bibułką. Pałeczek robi się z waty i zielonego papieru; nierozwita makówka z 2—3 liści zwiniętych i oklejonych zielonym papierem.



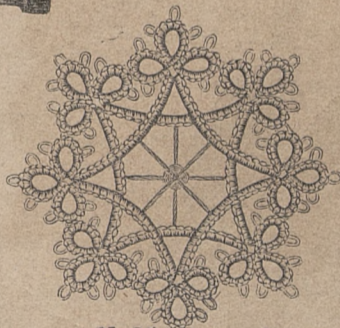
N. 24. Rozeta do ryc. 23.



N. 28. Kwadraty sukienne do ryc. 27.



N. 29. Haftowany medaljon.



N. 25. Rozeta do ryc. 23.

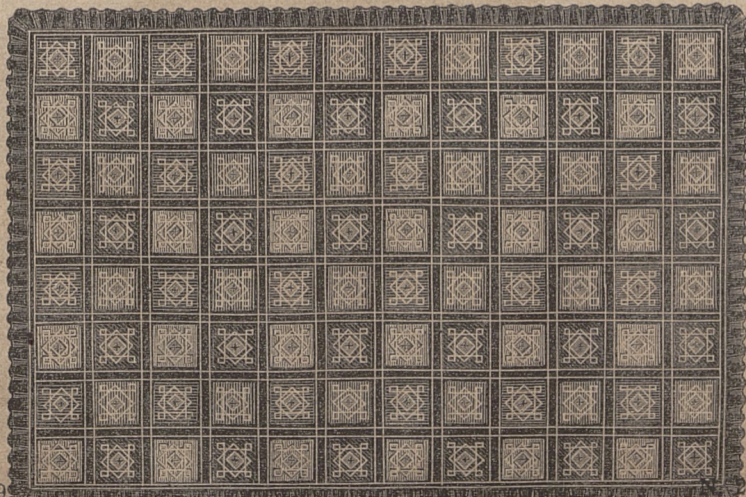
N. 2—3. Berta z rękawami.

Stosownie do tego czy się układa na staniku pod szyję czy wygorsowanym, przedstawioną bertę użyć można jako bertę lub jako pelerynkę, jak to widzimy na ryc. 2 i 3, które zarazem wskazują, że nie tylko muslin z koronką białą, ale krepa, grenadina, gaza w pięknie dobranym cieniu, bardzo przyozdabia stanik. Użyta na pelerynkę daje się z dwóch kawałków 60 c. długich a 26 cent. szerokich, ułożonych w 4 płaskie fałdy po 7 cent. szerokie.

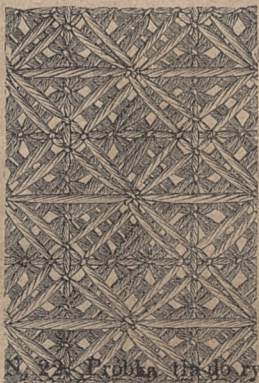
Z tyłu tworząc rodzaj zęba, z przodu spada pięknie, kardą spięta i oszyta 6 c. szeroką koronką do kółka. Rękawy zdobi w fałdy układany



N. 26. Frenuzia do szala N. 23.



N. 27. Dynamił moźdzkowy. Zobacz ryc. 28.



N. 22. Probka tła do ryc. 19. Spód.

N. 58—60. Koszyczek z perełek z papierowymi kwiatami.

N. 58. Przedstawia płaski koszyczek już napeł-

muslin z koronką, tworzący szeroki podrękawek. Dodajemy że tego rodzaju garnitur z białego muslinu, tiulu czarnego, grenadyny i krepy, używa się także na gładkich zupełnie stanikach.

N. 4. Fałdowana berta z rękawami.

Krój i opis na dodatku N. XIII. Fig. 30—31a.

N. 5. Płaszcz z peleryną.

Krój i opis na dodatku XVI. Fig. 37—37a.

N. 6. Zimowe ubranie dla dziewczynki.

Całe pół aksamitne z welwetu ubranie lub też tylko paletot taki na wełnianej spódnicy, oszywa się białym puszkim lub ciemnym futerkiem. Kołnierzyk zwi-



N. 31. Neglizyk z dzierganym brzegiem.
Krój na dodatku N. XIX. Fig. 40.
Zobacz ryc. 30 w Tyg. Mód. N. 7.

zany na różową kokardę. Mufka biała lisowa. Wysokie bućki oszyte puszkim. Kapelusz aksamitny ubrany rulonami i kokardą atlasową; biały gazowy woal uzupełnia ubranie.

N. 7. Wieczorowa suknia.

Model przedstawia suknie z cienkiego białego muslinu,



N. 34. Kołnierzyk wykładany z koronką.
Krój i opis na dodatku N. XIV Fig. 32.

na różowej muslinowej lub jedwabnej podwłócznie. Wierzchni materiał zastąpić można również grenadyną lub tarlatanem na balową toaletę, dając w miejsce koronki, bufy, riasze i rulony jedwabne. Tunika z przodu fartuszkowa, spływa aż na tren w tyle; w koło idzie 4 cent. szeroka plisowana falbanka, po nad którą dana wstawka z irlandzkiej koronki. Falbana dolna 20 cent. szeroka ma 2 c. szerokie fałdy, inne tak na spodnicy jak na tunice 8 cent. szerok, mają 1 cent. szerokie fałdowanie. Szelki ubierające stanik, składają się z dwóch koronkowych wstawek fałdowaniem przedzielone; rękawy zdobi mankiety z fałdowania i wstawki koronkowej. Na końcach szarfy jedwabnej suto ułożonej w pukle, naszyte są koronkowe gwiazdy.

Dalszy ciąg opisu dodatku nastąpi w N. 7 Tyg. Mód.



N. 30. Uczesanie głowy z kwiatami
czarny malowany kolorowo.

Wachlarz



N. 33. Krawatka.

Włosy krepowane, przepięte grzebieniem, od którego spada pęk długich loków, róża przypięta z boku.

N. 8. Poduszka na kanapę.

Poduszka włosiana powleczone kolorowym atłasem, przykryta jest koronkową serwetką ręcznej roboty. Na środku poduszki haftowany bukiet pelami, brzeg garnirowany fałdowaną szczoteczka ze wstążki.

N. 9—10. Dwie barbki: frywolitowa i szydełkowa.

Dokładność rycin uwalnia nas od opisów.—Barbek takich najwięcej używają czy to białe czy z czarnego jedwabiu do ubrania głowy lub na krawatki.

N. 11. Staniczek z bufkami na gorset.

Krój na dodatku N. XII fig. 26—29.



N. 32. Aksamitny kapelusz.

N. 12. Płaszcz dla małego dziecka.

Krój na dodatku N. VIII fig. 13.

N. 13—14. Płaszcz z peleryną i kapturkiem.

Opis i krój na dodatku N. XVI fig. 37—37a.



N. 35. Kołnierzyk płócienny z ranwersem.
Zobacz także ryc. 13 w Tyg. Mód. N. 7

N. 15—16. Czapeczka mężka.

Materiał: Brunatne sukno, reszki atłasu, jedwabna plecionka, brunatny i czarny kordonek, wążka złota plecionka i nici.

Ryc. 16 podaje w naturalnej wielkości część szlaku z deseniem, który łatwo potem przy pomocy ryc. 15 na czapkę przenieść. Denko może być zupełnie bez wyszycia z guzikiem i kwastem we środku. Papierem podklejane atłasowe liście, przytwierdza złoty sznur, czarno okęcany; ścięci sznurkowe dają się brunatne. Na takichże koronkach, dane są na przykład gałązki złote i brunatne; jedwabna plecionka, przyszywa się czarnymi krzyżkami. Fałdy w koło rondka 8-9 c. wynoszące, mogą być układane lub marszczone.



N. 36. Okrycie do teatru.